Justyna Steczkowska 25 i 26 listopada wystąpi w Wilnie | Sprawa Nord Stream przed niemieckim sądem

AI a uczciwość **| WYWIAD SPECJALNY: Konsul Dariusz Wiśniewski: „Usłyszeliśmy deklaracje. Chcemy poznać konkrety”**

KURIER WILEŃSKI
MAGAZYN

21-27 listopada 2026 r.
Nr 46 (134)

Wydanie magazynowe
polskiego dziennika na Litwie
Cena: 1 euro

Ćwierć wieku
ogniska Polaków na Litwie

Rdzeń życia społecznego Polaków na Litwie, Dom Kultury Polskiej w Wilnie, liczy 25 lat. Był to swego czasu pomysł wręcz zwalczany. Twierdzono, że zwyczajnie nie będzie taki dom potrzebny. Ćwierć wieku pokazało, że w miejscu tym krzyżują się wszystkie środowiska Polaków na Litwie, trwa debata polsko-litewska, a do tego — pokazywany jest nasz prestiż. Tę drogę „Kurier Wileński” podsumowuje z Arturem Ludkowskim, dyrektorem DKP w Wilnie.



ISSN 1392-0405

Fot. Marian Paluszkiewicz
Projekt okładki Apolinary Klonowski

eprasa.pl 1a15d41ebb

KALENDARIUM

21 listopada

1918 – rząd Republiki Niemieckiej uznał niepodległość Polski, choć jeszcze nie de iure (prawnie). Był to jeden z pierwszych formalnych aktów uznania odrodzonego państwa przez mocarstwo rozbiorowe. Nowo odtworzone państwo polskie mogło skupić wysiłki na regulowaniu relacji z sąsiadami, w tym z Litwą.

22 listopada

1920 – w nocy z 22 na 23 listopada w Wilnie aresztowano grupę miejscowych Litwinów. Litwa odebrała to jako prowokację, aby wywołać prześladowanie Polaków i dać pretekst do kolejnej interwencji zbrojnej. Powstrzymała się jednak od gwałtownej odpowiedzi. Tzw. Litwa Środkowa liczyła na wymiany aresztowanych.

23 listopada

1918 – Tymczasowy Zarząd Miejski w Suwałkach zażądał od władz niemieckich przekazania zakładów przemysłowych i nieruchomości polskich na terenie miasta oraz swobody organizowania szkolnictwa. Był to jeden z kroków przejmowania kontroli przez stronę polską nad tym regionem. W tle jeszcze gorzały roszczenia.

24 listopada

1990 – w Wilnie, bez udziału przedstawicieli Polaków na Litwie, odbyło się zebranie zainicjowane przez Komunistyczną Partię Litwy, Sąjūdis i Vilniję. Wydano odezwę, w której niemal zestawiono Polaków z ZSRS i III Rzeszą. Było to apogeum napięć polsko-litewskich. Później z wielu twierdzeń „wykręcano się".

25 listopada

1926 – powiatowi inspektorzy zebrani w Kownie alarmowali, że polska organizacja „Pochodnia" otwiera szkoły tam, gdzie działają już szkoły samorządowe. Zarzuty: nauczyciele niewykształceni, w podręcznikach „niechęć i pogarda do Litwy". W tym epizodzie najmniej chodziło o Polaków; była to część rozgrywek partyjnych.

26 listopada

1990 – ujawniono dokument polskiego MSZ aide-mémoire (niezobowiązująca notka w dyplomacji, „pomoc dla pamięci") ostro krytykujący litewską politykę wobec mniejszości polskiej. Były tam twierdzenia krytyczne wobec niektórych polskich postulatów. Dokument opublikowała tylko „Vilnija", do skandalu nie doszło.

27 listopada

1414 – polsko-litewska delegacja – wysłana na sobór w Konstancji w sporze z zakonem krzyżackim – przybyła „w bardzo wspaniałym orszaku" (jak pisał J.I. Kraszewski). Cztery dni później posłowie weszli na kongregację, by reprezentować interesy obu krajów wobec Europy. Z Europą Litwini i Polacy rozmawiali wspólnie.



Robert Mickiewicz

Dom, który łączy

Historia Polaków na Litwie liczy setki lat. Jest nieodłącznie związana z historią samego państwa. Miała swoje wzloty i upadki, najczęściej związane ze zmieniającą się sytuacją geopolityczną.

Niewątpliwie okres ostatnich 36 lat, gdy Litwa po ponad 40 latach sowieckiej okupacji odzyskała niepodległość, jest kolejnym osobnym etapem w tej historii. Te 36 lat też już możemy podzielić na kilka mniejszych etapów, ale bogatych w znaczące i ważne dla Polaków na Litwie wydarzenia.

Dzisiaj jednak chciałbym zatrzymać się przy jednym takim wydarzeniu, które zapoczątkowało nowy etap naszej historii. Przed 25 laty w Wilnie zaczął funkcjonować Dom Kultury Polskiej na Litwie. Może wydawać się dziwnym, dlaczego budynek, niech nawet i tak okazały, mógł zapoczątkować nowy etap w historii Polaków na Litwie.

Przed 25 laty w Wilnie zaczął funkcjonować Dom Kultury Polskiej na Litwie. Może wydawać się dziwnym, dlaczego budynek, niech nawet i tak okazały, mógł zapoczątkować nowy etap w historii Polaków na Litwie.

W 2001 r. polska społeczność w naszym kraju otrzymała w darze od narodu i państwa polskiego miejsce, gdzie możemy zbierać się, łączyć się dla prowadzenia działalności, której najważniejszym celem jest zachowanie naszej świadomości narodowej. Te mury u zbiegu ulic Nowogródzkiej i Kowieńskiej połączyły społeczność polską, stały się centrum najważniejszych wydarzeń. W tym miejscu nastąpiła najwyższa koncentracja polskości na Litwie.

W ciągu tego ćwierćwiecza DKP stał się miejscem strategicznym dla Polaków na Litwie. Dla młodego pokolenia może się wydawać, że był zawsze, że bez tej placówki trudno wyobrazić nie tylko święta, lecz co najważniejsze – codzienność polskiej zorganizowanej społeczności.

W tym wydaniu magazynowym „Kuriera Wileńskiego" zamieszczamy rozmowę Honoraty Adamowicz z Arturem Ludkowskim, dyrektorem Domu Kultury Polskiej, ale przede wszystkim osobą, dzięki której ten Dom jest właśnie taki, jaki jest – nie tylko bogaty w polskie wydarzenia, ale otwarty dla wszystkich niezależnie od poglądów, wieku, prowadzonej działalności. Otwarty, co ważne, nie tylko dla Polaków, ale dla ludzi różnych narodowości.

Redakcja „Kuriera Wileńskiego" życzy Domowi Kultury Polskiej na Litwie sto lat!

Robert Mickiewicz

KURIER WILEŃSKI MAGAZYN Ukazuje się od 1953 r. Birbynių g. 4a, LT-02121 Wilno, Republika Litewska, tel. +370 526 084 44; **Redaktor naczelny:** Robert Mickiewicz. **Zastępcy redaktora naczelnego:** Brygita Łapszewicz, Apolinary Klonowski. **Sekretarz redakcji:** Piotr Łukasik. **Dziennikarze:** Honorata Adamowicz, Justyna Giedrojć, Brenda Mazur, Antoni Radczenko, Rajmund Klonowski. **Stali współpracownicy:** Piotr Hlebowicz, Elżbieta Monkiewicz, Tomasz Otocki, Anna Pawiłowicz-Janczys, Tomasz Snarski, Jarosław Tomczyk. **Fotoreporterzy:** Marian Paluszkiewicz. **Skład i łamanie:** Halina Taukin. **Dział Online:** Janina Jarosz, Jolanta Balkiewicz, Apolinary Klonowski. **Dział promocji:** Andrzej Podworski – prenumerata (kolport@kurierwilenski.lt) i reklama (tel. 260 84 44, reklama@kurierwilenski.lt). **Wydawca:** VšĮ „Kurier Wilenski", Birbynių g. 4A, LT-02121 Wilno. **Druk:** VšĮ „Vilnijos žodis". Nakład: 2500 egz.

Zadanie współfinansowane ze środków Kancelarii Senatu w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą w 2026 roku. Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Senatu RP, Kancelarii Senatu RP ani Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie" im. Jana Olszewskiego.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Opinie Czytelników zawarte w ich listach nie zawsze są zbieżne z opinią redakcji.

Fundacja POMOC POLAKOM NA WSCHODZIE im. Jana Olszewskiego

FEDERACJA MEDIÓW POLSKICH NA WSCHODZIE

DZIENNIK NALEŻY DO EUROPEJSKIEGO STOWARZYSZENIA GAZET CODZIENNYCH MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH MIDAS

eprasa.pl 1a15d41ebb

Antoni Radczenko: Mundur nie stoi ponad prawem »4

Odbył się Kongres Kobiet Wileńszczyzny »5



Pierwszy Kongres Kobiet Wileńszczyzny współprowadziły organizacje Akademia Wolności i Akademia Liderów Obywatelskich. Organizatorem była Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie" im. Jana Olszewskiego.

25 lat Domu Kultury Polskiej w Wilnie »6-10



DKP w Wilnie jest jednym z najważniejszych miejsc spotkań polskiej społeczności na Litwie. – Chcieliśmy udowodnić, że to, co wydawało się niemożliwe, może jednak funkcjonować – wspomina Artur Ludkowski.

Dziewczyna szamana nie przestaje czarować »11-13



O muzyce, Eurowizji, rodzinnych tradycjach, scenicznych metamorfozach i sekretach nieustającej energii rozmawiamy z Justyną Steczkowską przed jej powrotem do Wilna.

Samorządowa polityka kadrowa »14-16



Zmiana dyrektora Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Landwarowie wywołuje w lokalnej społeczności serię pytań o przejrzystość decyzji Samorządu Rejonu Trockiego – pisze Zbigniew Balcewicz.

Święto dla polskiego Dyneburga »20-21



14 listopada w Dyneburskim Pałacu Kultury przy Smilšu iela (Łotwa) odbył się koncert z okazji 35 rocznicy Zespołu Tańca Ludowego „Kukułeczka", prowadzonego od przez Żannę Stankiewicz.

Czy można zaufać sztucznej inteligencji? »22-23



Wykrywanie tekstów napisanych przez sztuczną inteligencję, uczciwość akademicka, przyszłość prac dyplomowych i rola wykładowców – to wyzwania, przed którymi staje szkolnictwo wyższe.

Ukraiński oficer przed niemieckim sądem »24-25



W procesie dotyczącym wysadzenia gazociągów na dnie Bałtyku nie chodzi tylko o osądzenie oskarżonego. Główne pytanie brzmi: czy był to atak na cel cywilny, czy jednak de facto wojskowy?

Mamy podobne wyzwania po obu stronach granicy »26-29



O Połukniu, Orlenie, o tym, czy relacje polsko-litewskie czeka to, co spotkało relacje polsko-ukraińskie – rozmawiamy z konsulem generalnym RP na Litwie Dariuszem Wiśniewskim.

Rzemiosło duszy i rąk »30-34



Z okazji wspomnienia św. Cecylii rozmawiamy o pasji przekazywanej z pokolenia na pokolenie, w której dźwięk spotyka się z precyzyjnym rzemiosłem. Bernard Termion reprezentuje niezwykły ród organistów.

Krzyżówka »35

eprasa.pl 1a15d41ebb



Mundur nie stoi ponad prawem

Antoni Radczenko

Sąd Okręgowy w Wilnie uznał funkcjonariusza straży granicznej Karolisa Ilgevičiusa, który podczas pełnienia służby śmiertelnie postrzelił przemytnika, za winnego nieumyślnego spowodowania śmierci wskutek naruszenia przepisów bezpieczeństwa. Wyrok skomentował minister spraw wewnętrznych Martynas Katelynas. „Jako obywatel jestem głęboko rozczarowany takim wyrokiem sądu. Zdecydowanie inaczej postrzegam tę sytuację. Państwo nie może przecież wymagać od funkcjonariuszy, aby z bronią w ręku bronili naszego kraju, a następnie ciągać ich po sądach" – oświadczył polityk. Podkreślił, że ma nadzieję, iż wyrok zostanie zaskarżony.

Uważam tę wypowiedź za głęboko niepokojącą. Niezależne i niezawisłe sądy, orzekające na podstawie prawa uchwalonego przez demokratycznie wybrany parlament, stanowią jeden z fundamentów współczesnej demokracji. Kiedy urzędujący minister publicznie kwestionuje wyrok sądu, podważa zaufanie do tego fundamentu.

> W słowach ministra dostrzegam niepokojące echo idei charakterystycznych dla części tzw. alternatywnej prawicy (alt right). To niejednorodny nurt skupiający rozmaite radykalnie prawicowe wizje porządku społecznego i politycznego.

Nie oznacza to oczywiście, że orzeczenia sądowe powinny pozostawać poza krytyką. Przeciwnie, debata nad nimi jest nieodłącznym elementem demokratycznego państwa. Istnieje jednak zasadnicza różnica między krytyką formułowaną przez dziennikarzy, publicystów czy naukowców a wypowiedzią członka rządu, który sam reprezentuje władzę wykonawczą.

Jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Katelynas, choć obecnie związany z socjaldemokratami, rozpoczynał karierę polityczną w skrajnie prawicowym Zjednoczeniu Narodowym. Jego dzisiejsza wypowiedź nasuwa pytanie, na ile zmiana partyjnych barw oznaczała rzeczywistą ewolucję poglądów. W słowach ministra dostrzegam niepokojące echo idei charakterystycznych dla części tzw. alternatywnej prawicy (alt right). To niejednorodny nurt skupiający rozmaite radykalnie prawicowe wizje porządku społecznego i politycznego. Łączy je często przekonanie, że interes państwa powinien górować nad prawami jednostki.

I właśnie tutaj tkwi największe zagrożenie. W demokratycznym państwie prawa mundur nie zwalnia z odpowiedzialności, a służba państwu nie daje przyzwolenia na łamanie prawa. Państwo, które stawia swoich funkcjonariuszy ponad prawem, przestaje być państwem prawa. Nawet jeśli czyni to pod hasłem obrony własnego bezpieczeństwa.

KURIER
WILEŃSKI

Prenumerata 2026

Na kolejny miesiąc trwa do
28 dnia każdego miesiąca

Wydanie codzienne (kod 0044)
Na miesiąc 10,00 €
Na 3 miesiące 28,00 €
Na 6 miesięcy 54,00 €
Wydanie magazynowe (kod 0172)
Na miesiąc 4,00 €
Na 3 miesiące 11 €
Na 6 miesięcy 21,00 €

Dla osób niepełnosprawnych oraz emerytów
Wydanie codzienne (kod 0227)
Na miesiąc 9,00 €
Na 3 miesiące 25,00€
Na 6 miesięcy 49,00€

Prenumerata dla czytelników za granicą
Wydanie codzienne
Na miesiąc 20 €
Na 6 miesięcy 120 €
Wydanie magazynowe
Na miesiąc 10 €

„Kurier Wileński" można zaprenumerować:
- w każdym urzędzie pocztowym (Lietuvos paštas);
- drogą elektroniczną: www.prenumeruok.lt;

Informacja pod nr. tel. (8-5) 260 84 44,
Birbynių g. 4A, LT-02121 Vilnius,
kolport@kurierwilenski.lt, www.kurierwilenski.lt

eprasa.pl 1a15d41ebb

Odbył się Kongres Kobiet Wileńszczyzny. Cel długofalowy: Rady Kobiet przy samorządach

Kongres Kobiet Wileńszczyzny odbył się 14 listopada w Zułowie, ale otwierające spotkanie towarzysko-dyskusyjne było 13 listopada w antokolskiej „Sakwie". Dowiadujemy się od organizatorek, jaki jest cel takiego kongresu – ogólny i ten długofalowy.



Kongres zgromadził kobiety Wileńszczyzny – działaczki, naukowczynie, przedsiębiorczynie **Fot. Apolinary Klonowski**

Pierwszy – i jak zapewniają organizatorki, nie ostatni – Kongres Kobiet Wileńszczyzny współprowadziły organizacje Akademia Wolności i Akademia Liderów Obywatelskich. Organizatorem kongresu była Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie" im. Jana Olszewskiego, a partnerami – Klub „Wileńszczyzna jest Kobietą" i Samorząd Rejonu Wileńskiego.

– Mamy 30 osób, aktywnych liderek, oczywiście z Wileńszczyzny, ale także Polki z Polski, które wskażą nam drogę. Wśród nich będzie Ania Matusewicz, która jest przewodniczącą Rady Kobiet Miasta Gdyni, więc chcemy skorzystać z tej wiedzy, z jej doświadczenia. Będziemy gościć też Agnieszkę Lichnerowicz, autorkę książki „Idzie wojna?", która wskazuje, w jaki sposób nie popadać w panikę, a korzystać z tego, żeby się wzmocnić zarówno jako społeczność, ale także jako kobiety zamieszkujące takie specyficzne terytorium jak pogranicze – zapowiadała przed wydarzeniem w rozmowie z „Kurierem Wileńskim" Barbara Jundo-Kaliszewska, jedna z organizatorek, politolożka z Ejszyszek w rej. solecznickim.

Zaktywizować Polki

Z kolei Anna Złotkowska, przedsiębiorczyni i współorganizatorka, wyjaśniła, że chodzi o aktywizację kobiet, Polek – choć nie tylko. – Klub „Wileńszczyzna jest Kobietą" zaistniał już od pewnego czasu u nas tutaj, w regionie, i mam nadzieję, że dzisiejszy kongres stanie się tradycyjnym wydarzeniem. Takim zdarzeniem wspólnym z Akademią Wolności, z Akademią Liderstwa, którą tutaj prowadzi pani Barbara Jundo-Kaliszewska. Chodzi nam o to, żeby dziewczyny, żeby panie, kobiety Wileńszczyzny, Litwy, Polki Litwy znalazły dla siebie taką bezpieczną przestrzeń do dialogu, do inspirowania się nawzajem, do składania potencjału w taki sposób, po prostu nabierając inercji w swoich działaniach, żeby udostępniały doświadczenie – mówiła „Kurierowi Wileńskiemu" Anna Złotkowska, przewodnicząca Klubu „Wileńszczyzna jest Kobietą".

Zapytaliśmy Annę Złotkowską o Rady Kobiet, które powstają przy samorządach w Polsce. Taka rada jest przy m.in. samorządzie Gdańska czy Łodzi. – Taka Rada Kobiet przy samorządach na Litwie jest końcowym celem całej naszej działalności – żeby kobiety na stanowiskach decydujących ujawniały swoje doświadczenie i swoje talenty coraz bardziej, szły coraz bardziej aktywnie, żeby głos kobiet był słyszany – wyjaśniła. Dodała, że liczą, że takich kongresów będzie więcej.

– Mamy nadzieję na co najmniej jeden taki kongres w roku. Wiadomo, gdyby to było co pół roku, byłybyśmy bardziej skuteczne. Ale w tej chwili po prostu możemy tylko planować i przyglądamy się, poszukujemy poprzez ten kongres partnerek do bardziej aktywnego działania, w bardziej wymiernych obszarach – podsumowała.

Szeroki program kongresu

Dr Barbara Jundo-Kaliszewska do pomocy w organizacji kongresu zaprosiła uczestniczki Koła Naukowego Europy Środkowej i Wschodniej przy Uniwersytecie Łódzkim, które specjalnie na ten kongres przyjechały na Litwę.

Kongres zaczął się w restauracji „Sakwa" na Antokolu w Wilnie od „Warsztatów z pamięci" Bożeny Mozyro i wydarzenia „Dobro ma skrzydła" Bożeny Naruszewicz z oprawą muzyczną Teresy Blaževičienė. Choć główna część wydarzenia była zaplanowana w Zułowie, to wieczorem 14 listopada uczestniczki wróciły do „Sakwy" na spotkanie z Agnieszką Lichnerowicz, autorką książki „Idzie wojna?", oraz na koncert Vox Cordis z piosenkarką Katarzyną Parszutą.

Główna część obrad odbyła się w Zułowie. Wykład „Czas kobiet" wygłosiła prof. Elżbieta Kuzborska-Pacha. W panelu „Siła kobiet – odporność wspólnoty" wystąpiły: Jolanta Urbanowicz, Agnieszka Filipiak, Katarzyna Bogdziewicz, Aleksandra Kuczyńska-Zonik i Aurora Degesytė. W panelu „Na własnych zasadach – liderki pogranicza" prelegentkami były: Jurgita Ribinskaitė-Glatzer, Małgorzata Wenclik, Bożena Lisowska, Anna Matusewicz i Alina Kieżun. W panelu „Kobieta przyszłości – od wizji do działania" wystąpiły Barbara Mosaro, Danuta Narbut, Renata Rudnicka i Maja Błaszkiewicz. Panele moderowały kolejno: Barbara Jundo-Kaliszewska, Anna Złotkowska i Hana Kaminskienė.

Apolinary Klonowski

eprasa.pl 1a15d41ebb

25 lat Domu Kultury Polskiej w Wilnie. „Największym bogactwem tego miejsca są ludzie”

Rozmawiała Honorata Adamowicz

Miał być obiektem samofinansującym się, choć na początku brakowało w nim nawet łóżek hotelowych, mebli i restauracji. Dziś Dom Kultury Polskiej w Wilnie jest jednym z najważniejszych miejsc spotkań polskiej społeczności na Litwie. Za jego działalnością kryje się jednak nie tylko historia rozwoju instytucji, lecz także ogrom włożonej pracy, wyrzeczeń i determinacji ludzi, którzy nie pozwolili, by ten projekt się nie powiódł. – Chcieliśmy udowodnić, że to, co wydawało się niemożliwe, może jednak funkcjonować – wspomina dyrektor placówki Artur Ludkowski.



Artur Ludkowski: Życie kulturalne w Wilnie jest bogate i chcemy być jego ważną częścią **Fot. Marian Paluszkiewicz**

Artur Ludkowski w rozmowie z „Kurierem Wileńskim” opowiada o początkach DKP, o pandemii, która niemal zatrzymała wszystko, o pracownikach, których nazywa największym bogactwem Domu Polskiego, oraz o tym, dlaczego po ponad 20 latach wciąż nie potrafi rozstać się z tym miejscem.

Honorata Adamowicz: Przyszedł Pan do Domu Kultury Polskiej w 2001 r. Miał Pan wtedy zaledwie 29 lat. Czy zdawał Pan sobie sprawę, że obejmuje instytucję, której przyszłość wcale nie jest pewna?

Artur Ludkowski: W czerwcu 2001 r. ogłoszono konkurs na stanowisko dyrektora. Postanowiłem spróbować swoich sił i udało mi się go wygrać. Jednym z podstawowych warunków było to, że Dom Kultury Polskiej musi być obiektem samofinansującym się. Wówczas wydawało się to mało realne, wręcz utopijne.

Budynek został oddany do użytku jeszcze w 2000 r., ale nie był wyposażony. Zabrakło na to środków. Nieukończony był hotel, nie było mebli ani restauracji. Właściwie nie było niczego, co mogłoby przynosić dochody. Dodatkowo finansowanie było zapewnione tylko do 2002 r. Sytuacja wyglądała więc nieciekawie.

Drugim ważnym zadaniem było uporządkowanie zarządzania obiektem. Organizacjom rozdano klucze do pomieszczeń, ale nie zawarto z nimi żadnych umów. Podpisanie umów użytkowania zajęło nam kilka lat. Organizacje od po- »

eprasa.pl 1a15d41ebb

czątku ponoszą koszty mediów, m.in. wody i ogrzewania. Pozostałe wydatki pokrywamy my.
Najważniejsze było doprowadzenie do sytuacji, w której obiekt będzie w stanie sam się utrzymać. Równolegle rozwijaliśmy działalność kulturalną, na tyle, na ile pozwalały nam możliwości.

Dziś trudno wyobrazić sobie Wilno bez Domu Kultury Polskiej. Tymczasem jego początki były bardzo trudne, a samofinansowanie placówki wydawało się niemal niemożliwe. Co pozwoliło Panu uwierzyć, że ten projekt jednak się powiedzie?
Wspólnie z panią Krystyną Zimińską analizowaliśmy sytuację finansową i początkowo zupełnie nie widzieliśmy możliwości, aby ten obiekt mógł sam się utrzymywać. Bilans po prostu się nie zgadzał. Jednak, jakimś trafem, chyba dzięki Bożemu zrządzeniu, udało się tak zarządzać placówką, że dziś jest samofinansująca się.
Nasze dochody pochodzą przede wszystkim z trzech źródeł. Sami prowadzimy hotel, mamy restaurację i zajmujemy się obsługą klientów oraz organizacją wydarzeń. Dochody przeznaczamy na utrzymanie obiektu, wynagrodzenia pracowników i modernizację. Cały czas trzeba coś odnawiać. Jeżeli obiekt nie będzie dobrze wyglądał, coraz mniej osób będzie chciało do niego przychodzić.

Hotel, który dziś jest jednym z filarów działalności DKP, zaczynał właściwie od zera. Pamięta Pan pierwszego gościa?
Pamiętam go bardzo dobrze. Jest nawet na zdjęciu. Wtedy nie mieliśmy jeszcze łóżek ani właściwego wyposażenia. Do pokoju hotelowego wstawiono kanapę z innego pomieszczenia. W takich warunkach przyjęliśmy naszego pierwszego gościa.
Hotel uruchamialiśmy stopniowo, pokój po pokoju, ponieważ brakowało pieniędzy na pełne wyposażenie. Jesteśmy bardzo wdzięczni Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska", a szczególnie jego oddziałowi rzeszowskiemu, który ufundował meble do pierwszych 10 pokoi. Pozostałe wyposażenie dokupowaliśmy już sami.
Nie mieliśmy natomiast możliwości uruchomienia restauracji bez poniesienia znacznych nakładów finansowych. Dlatego przez osiem lat wynajmowaliśmy pomieszczenia restauracyjne. Z jednej strony przynosiło to dochody, ale z drugiej – nie mieliśmy wpływu na jakość świadczonych usług. Obecnie wszystkim zarządzamy samodzielnie.

Dom Kultury Polskiej to jednak przede wszystkim kultura i polskie życie społeczne. Jaką rolę odgrywa dziś w tym zakresie?
Można wyróżnić trzy rodzaje wydarzeń. Pierwsza grupa to imprezy organizowane przez nas samych, takie jak: Dni Kultury Polskiej, zabawy noworoczne dla dzieci, koncerty czy spektakle.
Druga grupa to wydarzenia przygotowywane przez polskie organizacje społeczne i środowiska kulturalne. Organizują je m.in. polskie zespoły teatralne, Polski Zespół Artystyczny Pieśni i Tańca „Wilia" czy Macierz Szkolna. Odbywają się tutaj również spektakle teatralne, koncerty noworoczne oraz wiele innych inicjatyw integrujących polską społeczność na Litwie.
Trzeci rodzaj stanowią wydarzenia komercyjne. Mamy sale, w tym salę teatralną, którą organizacje chętnie wynajmują na różnego rodzaju imprezy. Odbywają się tutaj również litewskie występy stand-upowe.
Przez 25 lat zmieniła się nie tylko oferta DKP, lecz także jego publiczność. Dzieci, które kiedyś przychodziły na organizowane przez Was imprezy, dziś przyprowadzają własne dzieci. Czy to właśnie jest dowód, że udało się zbudować coś trwałego?
Ćwierć wieku to dużo czasu. Czasami wydaje nam się, że jesteśmy tacy sami jak na początku, ale przecież minęło już 25 lat. Wyrosło już niejedno pokolenie uczestników naszych wydarzeń. Szczególnie dobrze widać to podczas półkolonii, które organizujemy od ośmiu, dziewięciu lat dla dzieci z klas początkowych. Obserwujemy kolejną zmianę pokoleniową. Dzieci, które wcześniej uczestniczyły w naszych zajęciach, dziś same aktywnie działają w zespołach, teatrach i innych inicjatywach.
Oczywiście życie ma swoje prawa. Wiele osób, które było aktywnych w polskim środowisku 25 lat temu, odeszło już na zawsze. Ich miejsce zajmują kolejne pokolenia.

Czy udało się stworzyć nie tylko instytucję, ale prawdziwą wspólnotę?
Mam nadzieję, że tak. W Domu Kultury Polskiej swoje siedziby ma wiele organizacji. Przychodzi tu bardzo dużo osób, które uczestniczą w ich spotkaniach i działalności. Każdy może znaleźć coś dla siebie, zgodnie ze swoimi zainteresowaniami. Działają tu zarówno największe organizacje, takie jak Związek Polaków na Litwie czy Macierz Szkolna, jak i stowarzyszenia skupiające lekarzy, inżynierów, naukowców i przedstawicieli »



Fakt, iż przez te wszystkie lata Dom Kultury Polskiej funkcjonuje i przychodzą tutaj ludzie, najlepiej świadczy o tym, że jest potrzebny mieszkańcom Wilna i Wileńszczyzny **Fot. Marian Paluszkiewicz**

eprasa.pl 1a15d41ebb



Ćwierć wieku to dużo czasu. Czasami wydaje nam się, że jesteśmy tacy sami jak na początku, ale przecież minęło już 25 lat **Fot. Marian Paluszkiewicz**

innych środowisk. Bardzo aktywnie działa również harcerstwo.
Od początku mieliśmy podobną wizję: chcieliśmy stworzyć instytucję otwartą dla wszystkich, niezależnie od ich poglądów, również politycznych. Nie chcieliśmy, aby DKP był miejscem selekcji, w którym ocenia się, kto jest słuszny, a kto nie. Każdy miał mieć możliwość przyjścia i przedstawienia swojej propozycji. Mam nadzieję, że udało nam się stworzyć właśnie takie otwarte miejsce.

Przez ćwierć wieku wiele osób poświęciło temu miejscu swoją pracę, czas i energię. Zawsze mówi Pan o pracownikach z ogromnym szacunkiem. Szczególnie często wspomina Pan Krystynę Zimińską, wicedyrektorkę, która jest związana z DKP od samego początku. Jak wielką rolę odegrała w budowaniu tej instytucji?
Przez 25 lat działalności Domu Kultury Polskiej jego historię tworzyło i nadal tworzy wiele osób. Chciałbym podkreślić wkład wszystkich pracowników, zarówno tych, którzy są z nami od lat, jak i tych, którzy dołączyli później. Szczególne miejsce w tym gronie zajmuje Krystyna Zimińska, nasza wicedyrektorka, która jest z nami pod początku. Przez te wszystkie lata nie żałowała sił, czasu ani zdrowia, aby DKP mógł funkcjonować i się rozwijać. Jej zaangażowanie, odpowiedzialność i oddanie tej instytucji są dla mnie niezwykle ważne. To osoba, która zna Dom od podszewki, pamięta jego trudne początki i uczestniczyła w kolejnych etapach jego rozwoju. Takich ludzi nie da się zastąpić ani ich pracy przecenić.
Jednym z naszych najstarszych pracowników jest również Grzegorz Jakowicz, który z Domem Kultury Polskiej jest związany od wielu lat. Można powiedzieć, że niemal żyje tym miejscem. Jego codzienna obecność, zaangażowanie i znajomość funkcjonowania placówki sprawiają, że jest jedną z osób, które współtworzą jej historię i tożsamość.
Nie można też zapominać o pozostałych osobach odpowiedzialnych za poszczególne obszary działalności placówki. Bożena Mieżonis koordynuje projekty kulturalne, a Władysław Wojnicz, jego zastępczyni Irena Łukaszewicz oraz menedżerka Renata Naumowicz zajmują się obsługą zamówień, organizacją konferencji, prowadzeniem hotelu, zakwaterowaniem i wynajmem sal. Szczególne miejsce w naszym zespole zajmuje Halina Wiszniewska, szefowa restauracji. Restauracja jest ważną częścią działalności Domu Kultury Polskiej, a jej sprawne funkcjonowanie ma znaczenie nie tylko dla gości hotelowych, lecz także dla osób uczestniczących w konferencjach, spotkaniach i wydarzeniach. Nie można mówić o całym zapleczu DKP, pomijając ludzi, którzy odpowiadają za ten obszar. Bardzo doceniam jej pracę i zaangażowanie, podobnie jak wysiłek wszystkich pracowników hotelu i restauracji. Każdy z tych pracowników dokłada swoją cegiełkę do rozwoju DKP. Przez te lata wspólnie mierzyliśmy się z trudnościami, szukaliśmy rozwiązań i dbaliśmy o to, aby to miejsce żyło. Jestem wdzięczny wszystkim, którzy pracowali i nadal pracują na rzecz tej instytucji. Bo Dom Kultury Polskiej to nie tylko budynek, sale czy organizowane wydarzenia. To przede wszystkim ludzie.



Udało nam się nie tylko zachować obiekt, lecz nawet go rozbudować. Dzisiaj mamy znacznie większą przestrzeń i nowe możliwości działalności **Fot. Marian Paluszkiewicz**

A kiedy mówi Pan o ludziach, wspomina również tych, których już nie ma. Czy właśnie oni pozostawili w Panu szczególny ślad? »

eprasa.pl 1a15d41ebb

Wizyt było bardzo dużo, ale nie one najbardziej zapadły mi w pamięć. Bardziej wspominam ludzi, z którymi przyszło mi pracować, spotykać się i od których wiele się nauczyłem, a których już nie ma wśród nas.
Zaczynaliśmy pracę jako młodzi ludzie, bez dużego doświadczenia. Spotkania z osobami, które miały ogromną wiedzę i praktykę, bardzo dużo nam dawały. Dlatego za jeden z największych kapitałów uważam właśnie ludzi, których miałem okazję poznać.

Nie można jednak mówić o 25 latach działalności bez wspomnienia o kryzysach. Który moment był najtrudniejszy?
Przeżyliśmy kryzys gospodarczy w 2008 r., a później pandemię, która mocno dała nam się we znaki. Podobnie jak w większości instytucji nasza działalność praktycznie stanęła. Trzeba było jednak utrzymać pracowników i nadal opłacać rachunki za media oraz utrzymanie budynku. Na Litwie nie było wówczas takich dotacji jak w Polsce. Dostępne były preferencyjne kredyty. Zaciągnęliśmy kilka takich zobowiązań i robiliśmy wszystko, co było możliwe, żeby utrzymać placówkę. Szukaliśmy różnych sposobów, aby przetrwać ten trudny czas, m.in. przygotowywaliśmy paczki żywnościowe, co pozwoliło nam częściowo utrzymać działalność kuchni. Nie chciałbym nawet wracać do tamtych wspomnień. To był naprawdę ciężki okres. Nie przypuszczaliśmy, że pewnego dnia wszystko może nagle stanąć. Mam nadzieję, że już nigdy nie będziemy musieli przechodzić przez coś podobnego.

Co uważa Pan za największy sukces tych 25 lat?
Największym sukcesem jest to, że udało się zachować ten obiekt. 25 lat temu toczyło się wiele dyskusji na temat tego, czy Dom Kultury Polskiej jest w ogóle potrzebny. Pojawiały się obawy, że stanie się swoistym gettem, zamkniętym miejscem, które będzie sztucznym tworem. Tymczasem udało nam się nie tylko zachować obiekt, lecz nawet go rozbudować. Dzisiaj mamy znacznie większą przestrzeń i nowe możliwości działalności. Myślę, że fakt, iż przez te wszystkie lata Dom Kultury Polskiej funkcjonuje i przychodzą tutaj ludzie, najlepiej



Obiekt jest duży, dużo się tutaj dzieje, dlatego praca jest bardzo różnorodna i nigdy nie staje się monotonna **Fot. Marian Paluszkiewicz**

świadczy o tym, że jest potrzebny mieszkańcom Wilna i Wileńszczyzny.

Powiedział Pan kiedyś, że Dom Polski nie jest miejscem, do którego można przyjść rano, wyjść po południu i zapomnieć o pracy. Czy po ponad 20 latach nadal traktuje Pan tę działalność jak misję?
To zdecydowanie coś więcej niż zwykła praca. Dom Polski nie jest miejscem, do którego można przyjść o dziewiątej, wyjść o osiemnastej, zamknąć drzwi i zapomnieć o wszystkim.
Nigdy nie przypuszczałem, że będę pracował w jednym miejscu przez ponad 20 lat. Sam jestem tym trochę zaskoczony. To miejsce ma w sobie coś przyciągającego. Można powiedzieć, że kiedy już się tutaj przyjdzie, trudno później odejść.
Z jednej strony nasza działalność ma pewną powtarzalność. Wiemy, że każdy rok zakończy się zabawą choinkową dla dzieci, a także koncertem wigilijnym i noworocznym. W pewnym sensie tymi wydarzeniami odmierzamy upływ czasu.
Z drugiej strony pomiędzy nimi dzieje się tak wiele różnych rzeczy. Pojawiają się zarówno przyjemne, jak i mniej przyjemne niespodzianki. Obiekt jest duży, dużo się tutaj dzieje, dlatego praca jest bardzo różnorodna i nigdy nie staje się monotonna. »



Chciałbym podkreślić wkład wszystkich pracowników, zarówno tych, którzy są z nami od lat, jak i tych, którzy dołączyli później **Fot. Bartosz Urbanowicz, Polski Teatr „Studio" w Wilnie**

eprasa.pl 1a15d41ebb

Mówi Pan o początkach, kiedy brakowało niemal wszystkiego, o nieprzespanych nocach, problemach finansowych i konieczności angażowania własnych pieniędzy. Czy dziś, po tych wszystkich latach, może Pan powiedzieć, że było warto?

Kiedy teraz patrzę na wszystko z pewnego dystansu i widzę, co udało się zachować oraz stworzyć, myślę, że miało to sens. Na początku brakowało mi wiedzy i doświadczenia, ale miałem zapał. Chciałem udowodnić, że coś, co wydawało się niemożliwe, jednak może funkcjonować. Dzisiaj widzę, że ten młodzieńczy entuzjazm odegrał bardzo dużą rolę.

Przez pierwszych pięć lat miałem chyba zaledwie kilka dni wolnych. Tak wyglądały początki – ciągle coś trzeba było załatwiać, organizować i rozwiązywać kolejne problemy. Praktycznie bez przerwy byliśmy w drodze. Mój samochód niemal tego nie wytrzymał.

Zdarzało się też, że musieliśmy angażować własne pieniądze. Pierwszej zimy nasza księgowa przyniosła nawet swoje środki, które wpłaciła do kasy. Dzięki temu mogliśmy przetrwać pierwsze cztery miesiące nowego roku. Było wiele takich sytuacji, kiedy dokładaliśmy własne środki, żeby placówka mogła funkcjonować.

Dzisiaj Dom Kultury Polski jest już znacznie bardziej rozwiniętą instytucją. Mamy doświadczonych pracowników, z których wielu pracuje tutaj od lat i doskonale zna specyfikę tego miejsca. Dzięki temu wszystko funkcjonuje sprawnie. Zarząd może być spokojny, że ma dobry zespół, który poradzi sobie z obowiązkami.

Jakie są plany na kolejne 25 lat? Co chciałby Pan, aby Dom Kultury Polskiej dał następnym pokoleniom?

Cały czas pojawiają się nowe pomysły i projekty. Ostatnio wygraliśmy projekt skierowany do młodzieży, dotyczący m.in. przedsiębiorczości i rozwoju młodych ludzi. Chcemy podążać w tym kierunku. Szukamy również różnych źródeł finansowania. Widzimy, że środki pochodzące z Polski stopniowo się kurczą. Organizacji jest coraz więcej, a pieniędzy nie przybywa. Dlatego chcemy poszukiwać wsparcia również na Litwie, w różnych instytucjach i programach.

Cieszy nas, że przychodzą do nas dzieci, poznają się nawzajem i nawiązują znajomości. W tym roku na naszych półkoloniach uczestniczyło 400 dzieci, a w ubiegłym roku było ich 500. To naprawdę duża liczba młodych osób, które przewijają się przez DKP w okresie wakacyjnym. To pierwszy krok do tego, żeby poznawały to miejsce i nawiązywały z nim więź.

Mam nadzieję, że kiedyś uda nam się wrócić do organizowania zabaw młodzieżowych, jeżeli sama młodzież będzie tym zainteresowana. Pandemia skutecznie przerwała tradycję takich spotkań tanecznych. Do dzisiaj nie udało się jej w pełni odbudować. Wyrosło już pokolenie młodych ludzi, którzy właściwie nie wiedzą, czym były takie zabawy.

Chcemy nadal oferować bogaty program kulturalny. Cieszy nas, że aktywnie działają u nas zespoły i teatr. Każdy, kto chce uczestniczyć w życiu polskiej społeczności, może znaleźć coś dla siebie. Organizujemy wiele wydarzeń – zarówno bezpłatnych, jak i biletowanych, o bardzo różnorodnym charakterze. Życie kulturalne w Wilnie jest bogate i chcemy być jego ważną częścią.



Dom Polski nie jest miejscem, do którego można przyjść o dziewiątej, wyjść o osiemnastej, zamknąć drzwi i zapomnieć o wszystkim **Fot. Marian Paluszkiewicz**



Nasze dochody pochodzą przede wszystkim z trzech źródeł. Sami prowadzimy hotel, mamy restaurację i zajmujemy się obsługą klientów oraz organizacją wydarzeń **Fot. Marian Paluszkiewicz**

eprasa.pl 1a15d41ebb



Justyna Steczkowska: Kocham Wilno i bardzo się cieszę, że znów będziemy mogli się spotkać **Fot. materiały prasowe**

Dziewczyna szamana nie przestaje czarować. Justyna Steczkowska 25 i 26 listopada wystąpi w Wilnie

Rozmawiała Brenda **Mazur**

Justynę trudno pomylić z kimkolwiek innym. Głos o niezwykłej skali, sceniczna energia, kostiumy balansujące między haute couture a baśnią z pogranicza światła i mroku oraz wyobraźnia, która nie uznaje artystycznych ograniczeń. Artystka od trzech dekad udowadnia, że na scenie nie wystarczy po prostu zaśpiewać – trzeba jeszcze stworzyć własny świat i zaprosić do niego publiczność.

I ten świat zawita do Wilna. W ramach XIII Dni Kultury Polskiej, odbywających się w dniach 17–29 listopada, Justyna Steczkowska wystąpi z jubileuszowym koncertem przygotowanym z okazji 30-lecia działalności artystycznej. Do litewskiej stolicy wraca po ponad dziesięciu latach, a na jej występ czeka polska publiczność, która doskonale wie, że spotkanie z taką artystką rzadko bywa tylko koncertem.

Czy da się przenieść ten widowiskowy, pełen emocji i efektownych scenicznych kreacji świat artystki na wileńską scenę? Czy jubileusz skłania ją do wspomnień? Czy po 30 latach można jeszcze samej sobie sprawić niespodziankę?

O tym, o muzyce, Eurowizji, rodzinnych tradycjach, scenicznych metamorfozach i sekretach nieustającej energii rozmawiamy z Justyną Steczkowską przed jej powrotem do Wilna.

Brenda Mazur: Justyno, wracasz do Wilna po ponad dziesięciu latach. Pamiętasz swój poprzedni występ? Co zostało Ci w pamięci z tamtego spotkania z publicznością?
Justyna Steczkowska: Wilno zawsze zajmuje w moim sercu szczególne miejsce. Pamiętam przede wszystkim niezwykłą serdeczność tamtejszej publiczności – tę bliskość i ciepło, które czuje się od pierwszych chwil. Kocham Wilno i bardzo się cieszę, że znów będziemy mogli się spotkać. Mam nadzieję, że nasz koncert będzie pięknym, pełnym emocji spotkaniem i że wspólnie stworzymy wieczór, który na długo zostanie w pamięci.

Twoje koncerty kojarzą się z rozmachem, niezwykłym światłem, kostiumami, niemal teatralną oprawą i wielką przestrzenią. Tym razem czeka Cię wileńska scena o bardziej kameralnym charakterze. Traktujesz to jako wyzwanie czy raczej szansę na bliższy kontakt z publicznością?
Rozmach i teatralna oprawa są mi bliskie, ale w kameralnej przestrzeni jestem blisko publiczności. Ich prawdziwych emocji. Taki koncert wymaga innej energii takiej bardziej bezpośredniej, skupionej. Kocham takie chwile i cieszę się, że przeżyjemy to razem.

Zdradzisz choć odrobinę, co przygotowujesz na Wilno? Czy będzie to jubileuszowa podróż przez trzydzieści lat muzyki? Czy zabrzmią „Dziewczyna szamana", „Oko za oko, słowo za słowo" i inne utwory, które publiczność zna od lat?
Tak, będzie to spotkanie z różnymi rozdziałami mojej muzycznej drogi. Nie zabraknie utworów, które publiczność zna i śpiewa ze mną od lat, w tym „Dziewczyny szamana" i „Oka za oko, słowa za słowo". Chcę jednak, żeby to nie była tylko podróż w przeszłość. Reszta niech będzie niespodzianką.

Przez te lata zmieniały się muzyczne mody, sceniczne trendy i oczekiwania publiczności. Ty jednak nigdy nie sprawiałaś wrażenia artystki, która chce za wszelką cenę dopasować się do aktualnej mody. Co pomaga Ci zachować własny język artystyczny?
Chyba przede wszystkim słuchanie siebie. Moda może inspirować, ale nie powinna podejmować za artystę najważniejszych decyzji. Zawsze szukałam w muzyce czegoś, co jest naprawdę moje – emocji, prawdy, czasem pytania, na które sama jeszcze nie znam odpowiedzi. Jeśli to jest szczere, prędzej czy później trafia do ludzi, którzy szukają w muzyce czegoś więcej niż tylko rozrywki. »

eprasa.pl 1a15d41ebb

30 lat na scenie i nie widać u Ciebie ani śladu nudy! Kiedy patrzysz wstecz, co widzisz – bardziej drogę, którą zaplanowałaś, czy serię odważnych decyzji, które doprowadziły Cię do miejsca, w którym jesteś teraz?
Widzę drogę, której nie dało się zaplanować w najdrobniejszych szczegółach. Były marzenia, ale były też decyzje podejmowane w niepewności, ale z otwartym sercem i nadzieją, czasem pod prąd. Z perspektywy czasu właśnie te momenty okazywały się ważne. Nie żałuję, że nie zawsze wybierałam najłatwiejszą ścieżkę, ale dzięki temu jestem dziś dokładnie w tym miejscu, z którego mogę tworzyć po swojemu.

Porozmawiajmy o twoich scenicznych kreacjach – bywają odważne, futurystyczne, czasem wręcz mroczne i baśniowe. Czy najpierw rodzi się muzyka, a potem obraz, czy też zaczynasz od wizji postaci, którą chcesz stworzyć na scenie?
Najczęściej wszystko rodzi się równolegle. Muzyka wywołuje obrazy, a obraz potrafi podpowiedzieć mi, jak poprowadzić dźwięk i emocje. Na scenie nie chcę tylko „ładnie wyglądać", chcę stworzyć świat, do którego publiczność może wejść i być tam razem ze mną tak naprawdę, po ludzku i blisko.

Twoja garderoba jest imponująca. Kostiumy są niemal osobnymi bohaterami koncertów. Ile jest w nich twojego pomysłu, a ile pracy projektantów?
Zawsze zaczyna się od rozmowy i od pomysłu na całą trasę koncertową. Każda jest inna i czego innego wymaga. Opowiadam, jaką energię i postać widzę na scenie, a potem wspólnie z projektantami szukamy formy, która to uniesie. Mam swoje pomysły i mocno uczestniczę w tym procesie, ale kostiumy powstają dzięki talentowi i ogromnej pracy wielu osób. To prawdziwa i bardzo często długa współpraca, łącząca wiele elementów.

Czy masz w swojej garderobie sceniczną kreację, do której jesteś szczególnie przywiązana, taką, która wiąże się z ważnym wspomnieniem albo przełomowym momentem?
Mam kilka kreacji, z których każda przypomina mi inny etap życia. Każda z nich niesie w sobie wspomnienie odwagi, młodości i spotkania z publicznością. Niektóre kostiumy przechowują emocje lepiej niż fotografie, może kiedyś zrobię wystawę tych wszystkich pięknych rzeczy, które powstawały z myślą o konkretnych piosenkach.

Potrafisz nas zaskoczyć nie tylko głosem czy kreacją, lecz także ruchem i akrobatycznymi popisami. Skąd bierzesz odwagę, żeby przekraczać kolejne granice? I czy zdarza się, że ktoś z ekipy mówi: „Justyna, tego już naprawdę nie róbmy!"?
Odwagę daje mi ciekawość i chęć rozwoju. A czy ktoś czasem mówi: „Tego już nie róbmy"? Oczywiście! Ale ja zawsze twierdzę, że się da, że to my tworzymy rzeczywistość sceniczną i że się uda. I najczęściej się udaje. Najlepszym przykładem jest Eurowizja, gdzie śpiewałam „Gaję" i przez pół roku walczyliśmy z produkcją, żeby polecieć w górę. Szanse były prawie zerowe, ale ja nie przestałam wierzyć, że mój pomysł zostanie zrealizowany. I udało się! To zachwyciło publiczność, a ja latałam kilka metrów nad ziemią bez żadnych zabezpieczeń.

Zdradź kobiecy sekret. Jak dbasz o siebie, żeby mimo intensywnej pracy i ciągłych podróży zachować tyle energii? Co jest dla Ciebie ważniejsze: sen, ruch, dieta, pielęgnacja, a może wewnętrzna równowaga?
Nie ma jednego sekretu. Najważniejsza we wszystkim jest konsekwencja. Ruch to podstawa dobrej sylwetki i zdrowia. Ćwiczę od zawsze, a moje ciało odwdzięcza mi się energią i zdrowiem. Dobra pielęgnacja skóry, nie od czasu do czasu, ale zawsze. Nawodnienie, unikanie alkoholu, zero papierosów. Do tego wewnętrzna równowaga, wdzięczność, miłość i radość z życia po prostu.

Zauważamy, że prywatnie też lubisz eksperymentować z modą – na każdym spotkaniu w mediach jesteś elegancka i perfekcyjna. A jaka jesteś poza sceną? Czy po zejściu z niej zamieniasz te spektakularne stroje na coś zupełnie zwyczajnego?
Sceniczna kreacja jest częścią widowiska, a prywatnie chcę po prostu być sobą. Poza sceną jestem zwyczajną dziewczyną, która nadal lubi się stroić, ale ma do siebie i swojej pracy ogromny dystans.

Ważnym rozdziałem w twojej karierze jest Eurowizja. Jak dziś wspominasz swój występ z piosenką „Sama" w 1995 r. w Dublinie? Co z tamtej Justyny było w Tobie obecne, gdy zdecydowałaś się wystąpić po raz drugi, w 2025 r., po 30 latach?
Pierwszy występ na tym festiwalu z piosenką „Sama" był dla mnie ogromnym doświadczeniem. Byłam młoda, pełna emocji i chyba jeszcze nie do końca wiedziałam, jak wiel- »



Dopóki człowiek tworzy, dopóty pojawiają się nowe drzwi. Marzę o projektach, które pozwolą mi połączyć muzykę, obraz, ruch i opowieść w jeszcze pełniejszy świat **Fot. Mariusz Majewski, materiały prasowe**

eprasa.pl 1a15d41ebb

kim wydarzeniem jest Eurowizja. Ale już wtedy miałam w sobie potrzebę, żeby na scenie być prawdziwa i nie udawać kogoś innego. Po 30 latach wróciłam tam z tą samą pasją, tylko z dużo większym doświadczeniem i spokojem. Wciąż chciałam opowiedzieć muzyką coś, co jest dla mnie ważne. Publiczność pokochała mnie z nową siłą, młodzież wręcz oszalała na punkcie Steczkowskiej, chociaż mogłabym być ich mamą.

Twoja „Gaja" była naprawdę świetna. Fani, którzy na Ciebie głosowali, byli zawiedzeni werdyktem. Jak do tego podeszłaś? Czy powtórzyłabyś tę drogę?
Jestem bardzo wdzięczna wszystkim, którzy głosowali na „Gaję" i byli z nami w tej drodze. Rozumiem ich emocje, bo kiedy wkłada się w coś tyle pracy i serca, naturalnie ma się nadzieję na więcej. Eurowizja jest jednak konkursem, w którym spotykają się różne gusta, języki i wrażliwości. Dla mnie najważniejsze jest to, że mogłam pokazać „Gaję" tak, jak ją sobie wymarzyłam. I tak – powtórzyłabym tę drogę. Była odważna, piękna i bardzo moja.

Śpiewasz od dziecka, a twoja rodzina jest wyjątkowo muzykalna. Czy w domu Steczkowskich muzyka była czymś tak naturalnym jak wspólne posiłki czy raczej działo się w niej coś niezwykłego? Czy byliście taką polską Kelly Family?
Muzyka była częścią naszego codziennego życia, nie odświętnym wydarzeniem, tylko czymś zupełnie naturalnym. Mam ośmioro rodzeństwa – każdy miał swój charakter i swój głos, więc w domu na pewno nie brakowało ani dźwięków, ani emocji. Czy byliśmy polską Kelly Family? Tak bym tego nie nazwała, bo my graliśmy głównie muzykę poważną.

Muzyczna rodzina to ogromne wsparcie, ale zapewne także wiele różnych temperamentów i artystycznych ambicji. Czego nauczyli Cię najbliżsi, czego nie dałaby żadna szkoła ani scena?
Nauczyli mnie, że każdy człowiek ma własny głos i własną wrażliwość i że nie trzeba być takim samym, żeby być blisko. Rodzina daje też bardzo ważną lekcję: miłość nie polega na tym, że wszyscy myślimy identycznie,



W ramach XIII Dni Kultury Polskiej, odbywających się w dniach 17–29 listopada, Justyna Steczkowska wystąpi z jubileuszowym koncertem przygotowanym z okazji 30-lecia działalności artystycznej
Fot. materiały prasowe

tylko że potrafimy być dla siebie obecni mimo różnic.

Czy pamiętasz moment, w którym po raz pierwszy pomyślałaś, że śpiewanie może stać się twoim zawodem, a nie tylko dziecięcą pasją?
W zasadzie myślałam o tym od dziecka, ale nie w kategoriach zawodu. Śpiewanie było i wciąż jest przedłużeniem mnie samej. Kocham koncertować, kocham tworzyć. Poza rodziną to całe moje życie.
Pamiętam, że miałam może trzy albo cztery lata. Wracałam z tatą z kościoła. Była jesienna noc i nagle spadła gwiazdka. Tata powiedział: „Zobacz, córeczko, gwiazdka spadła z nieba. Pomyśl marzenie, na pewno się spełni". Pomyślałam wtedy, że chcę śpiewać. Pamiętam ten moment doskonale. To obraz, który nigdy nie zatarł się w mojej pamięci. Niesamowite, że już wtedy wiedziałam, czego pragnę. Jestem bardzo szczęśliwa i wdzięczna wszystkim, dzięki którym jestem dziś w tym miejscu. Szczególnie moim rodzicom – za możliwość wyboru i zrozumienie.

Jesteś artystką, mamą i osobą, która ma swoje życie poza sceną. Jak udaje Ci się znaleźć równowagę między intensywną pracą a bliskością z rodziną? Czy bliscy potrafią Cię skutecznie sprowadzić na ziemię, kiedy po koncercie wciąż jesteś pełna adrenaliny?
Kiedy dzieci były małe, jeździły wszędzie ze mną. Karmiłam je piersią i starałam się być jak najbliżej nich. Życie w trasie koncertowej nie jest łatwe – wymaga dyscypliny, ogromnej energii, empatii i czasu. Ale byłam szczęśliwa, że mogę być mamą na pełny etat i mieć dzieci przy sobie. To był wspaniały czas. Kiedy poszły do szkoły, nie mogły już tak często ze mną podróżować. Dlatego po koncertach zazwyczaj wracałam nocą do domu. Rzadko spałam w hotelach – właściwie tylko wtedy, gdy do przejechania było ponad 400 km. Wracałam z kierowcą, żeby być blisko rodziny i rano obudzić się z dziećmi zanim pójdą do szkoły. Chciałam, żeby jak najmniej odczuwały moją nieobecność.
Dziś są dorosłe, świetnie sobie radzą, bardzo się kochamy i wspieramy. Jeżdżą z nami na wakacje i myślę, że to mówi wiele o tym, jaką rodzinę udało nam się zbudować. Więzi między nami są bardzo mocne. Jestem dumna i szczęśliwa, że razem z mężem stworzyliśmy kochającą się rodzinę, która jest dla nas najważniejsza i przypomina mi, że poza sceną istnieje zwyczajne, piękne życie.

Czy masz jeszcze jakieś marzenie artystyczne, które czeka na właściwy moment?
Mam ich kilka, bo dopóki człowiek tworzy, dopóty pojawiają się nowe drzwi. Marzę o projektach, które pozwolą mi połączyć muzykę, obraz, ruch i opowieść w jeszcze pełniejszy świat. Chciałabym też mieć więcej czasu, żeby spokojnie słuchać własnej wyobraźni, ale życie jest otwartą książką, której zakończenia nie znam.

Justyno, a jeśli za kolejne 30 lat znów udzielisz nam wywiadu, o czym chciałabyś wtedy opowiedzieć?
Będę miała wtedy 85 lat i wciąż chciałabym opowiedzieć o tym, że jestem ciekawa świata i ludzi, że chce się rozwijać muzycznie i duchowo, że nie przestałam się wzruszać muzyką, i że po drodze udało mi się zostawić po sobie coś dobrego – nie tylko piosenki, ale też spotkania, emocje i odrobinę odwagi dla tych, którzy dopiero szukają własnego głosu. ■

eprasa.pl 1a15d41ebb

Samorządowa polityka kadrowa: ciche odejście i partyjny klucz w polskiej szkole

Zbigniew Balcewicz

Zmiana na stanowisku dyrektora Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Landwarowie, połączona z reorganizacją polskiej szkoły w Połukniu, wywołuje w lokalnej społeczności serię pytań o przejrzystość decyzji samorządu rejonu trockiego. Choć z formalnego punktu widzenia „vsio zakonno", okoliczności rozstania z dotychczasową dyrektor oraz sposób wyłonienia jej tymczasowej następczyni budzą uzasadnione wątpliwości.



Zbigniew Balcewicz: Odejście kompetentnego lidera placówki oświatowej w Landwarowie musi budzić zdziwienie
Fot. Marian Paluszkiewicz

Od września 2026 r. dotychczasowe samodzielne Gimnazjum im. Longina Komołowskiego w Połukniu przestało istnieć jako odrębna osobowość prawna, stając się Oddziałem Kształcenia Podstawowego przy Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Landwarowie. Proces ten od początku budził żywe emocje wśród rodziców, nauczycieli oraz przedstawicieli polskiej społeczności część, której nadal wiąże nadzieje z zapowiedziami ewentualnego przejęcia szkoły przez Ministerstwo Oświaty, Nauki i Sportu, choć resort dotychczas nie przedstawił wiążących decyzji prawnych ani harmonogramu.

W samym środku tych przekształceń, latem 2026 r. – na kilka miesięcy przed upływem pięcioletniej kadencji rozpoczętej w grudniu 2021 r. – ze stanowiska odeszła dotychczasowa dyrektor gimnazjum w Landwarowie, Ewelina Sołowjowa. Była ona dyrektorem dobrze ocenianym przez grono pedagogiczne, miała tytuł nauczyciela metodyka języka litewskiego oraz wieloletnie doświadczenie dydaktyczne zdobyte wcześniej w szkole w Połukniu.

Ani samorząd rejonu trockiego, ani sama zainteresowana nie przedstawili jednak opinii publicznej merytorycznych powodów tego rozstania. Lokalni komentatorzy, w tym serwis publicystyczny „Simas Burbulis", wprost ocenili, że władze rejonu pożegnały cenioną dyrektorkę „po cichu", ponieważ jako osoba o silnym charakterze nie wpisywała się w oczekiwania decydentów. »

eprasa.pl 1a15d41ebb

Reorganizacja w tle i nagłe rozstanie bez wyjaśnień

Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Landwarowie to jedna z nielicznych elitarnych polskich placówek oświatowych w rejonie trockim. To właśnie pod profesjonalnym kierownictwem duetu dyrektor Eweliny Sołowjowej oraz wicedyrektor Angeliny Naruševičienė szkoła ta została włączona do prestiżowego rządowego programu Szkół Tysiąclecia, osiągając znaczne i powszechnie szanowane wyniki. Na realizację zaplanowanych działań gimnazjum otrzymało niemal pół miliona euro. Placówka została wyznaczona jako główny koordynator ds. edukacji STEAM wśród pięciu szkół biorących udział w projekcie w rejonie trockim.

Projekt rejonu trockiego okazał się na tyle dużym sukcesem, że został nominowany do prestiżowego litewskiego konkursu krajowego „Europejskie Żagle 2026", w którym doceniane są projekty najskuteczniej zmniejszające różnice w poziomie edukacji i tworzące równe szanse dla wszystkich uczniów.

W normalnym świecie sukces ten przyniósłby nagrody i uznanie. W realiach rejonu trockiego stało się całkiem inaczej. Zaplanowana fuzja – włączenie na siłę innego gimnazjum jako nowego oddziału – oraz nagłe odejście dyrektor Sołowjowej odbywały się dokładnie w tym samym czasie. Czyżby to był zbieg okoliczności, czy jednak może czyjaś celowa strategia. Możemy tylko się domyślić dla czego dyrektor Sołowjowa podjęła decyzje o dymisji przed końcem swojej oficjalnej kadencji. Może dla świętego spokoju i ochrony własnego zdrowia, zdecydowała się nie psuć sobie nerwów walką w sądach.

Tymczasowe rozwiązanie z partyjnym rodowodem

W sytuacji ogólnokrajowego deficytu wykwalifikowanych dyrektorów szkół i nauczycieli języka litewskiego odejście kompetentnego lidera placówki musi budzić zdziwienie.

Co więcej, zgodnie z procedurami i zdrowym rozsądkiem, po dymisji dyrektora zarządzanie placówką powierza się wicedyrektorowi, który zna szkołę od podszewki. Tak też się stało, funkcję pełniącej obowiązki objęła Angelina Naruševičienė. Ta naturalna sukcesja trwała jednak niezwykle krótko. Dlaczego wieloletnia wicedyrektor, współautorka sukcesu Szkoły Tysiąclecia, nagle przestała pasować władzom w Trokach?

Odpowiedź nasuwa się prosta: była „człowiekiem stąd", więc broniłaby polskiej szkoły i interesów swoich nauczycieli. Mer Andrius Šatevičius (liberał) oraz wicemer Jonas Kietavičius (konserwatysta) – bezpośrednio odpowiedzialny za odcinek oświaty i reorganizację szkół – przypuszczam, że widocznie potrzebowali na tym stanowisku kogoś bezwzględnie lojalnego wobec władzy. Naruševičienė została więc błyskawicznie odsunięta na boczny tor, by zrobić miejsce dla nowej persony.

Jeszcze więcej pytań pojawiło się w październiku 2026 r., gdy pełnienie obowiązków dyrektora gimnazjum w Landwarowie powierzono osobie spoza szkoły i spoza rejonu trockiego – Rasie Gruodytė-Striuogaitienė, dotychczasowej wicedyrektor ds. nauczania w wileńskim Gimnazjum „Juventa".

Wystarczy zajrzeć do oficjalnych rejestrów Głównej Komisji Wyborczej oraz na stronę internetową Ruchu Liberałów, aby dostrzec wyraźny klucz polityczny tej decyzji. Nowa p.o. dyrektor nie jest jedynie szeregową



Pod profesjonalnym kierownictwem duetu dyrektor Eweliny Sołowjowej (na zdj.) oraz wicedyrektor Angeliny Naruševičienė szkoła została włączona do prestiżowego rządowego programu Szkół Tysiąclecia **Fot. Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Landwarowie, Facebook**

sympatyczką ugrupowania rządzącego w rejonie trockim. W wyborach samorządowych w 2023 r. startowała z wysokiego, 13. miejsca na liście Ruchu Liberałów do Rady Miasta Wilna. W poprzedniej kadencji struktur partyjnych pełniła funkcję wiceprzewodniczącej wileńskiego miejskie- »



Szkoła mniejszości narodowej pełniąca ważną funkcję kulturotwórczą w lokalnym środowisku potrzebuje stabilnego kierownictwa **Fot. Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Landwarowie, Facebook**

eprasa.pl 1a15d41ebb

go oddziału Ruchu Liberałów oraz przewodniczącej koła dzielnicowego w Leszczyniakach. Obecnie zaś zasiada w ogólnokrajowej Komisji Etyki i Przejrzystości Ruchu Liberałów.

Z kolei organem założycielskim gimnazjum w Landwarowie kieruje mer rejonu trockiego Andrius Šatevičius, który w tym samym wykazie partii figuruje jako wiceprzewodniczący oddziału Ruchu Liberałów w Trokach (obecnie z adnotacją o zawieszeniu członkostwa w partii w związku z postępowaniem dotyczącym tzw. afery paragonowej). Zestawienie danych z publicznych rejestrów może wskazywać na wyraźny kontekst polityczny tej nominacji.

Kontrast między dwiema dyrektorami jest uderzający: bezpartyjna działaczka społeczna Związku Polaków na Litwie, kandydująca w przeszłości z list opozycyjnej wobec władz rejonu AWPL-ZChR, została zastąpiona przez wieloletnią, wysoko postawioną działaczką partii mera. W kontekście wieloletniej rywalizacji politycznej w rejonie trockim między rządzącą koalicją liberałów a AWPL-ZChR fakt ten jest często przywoływany jako argument za politycznym tłem napięć. Ale czyżby kandydowanie z listy konkurencyjnego ugrupowania mogło stać się przyczyną niechęci wobec jej pracy?

Dziwne jest, że również opozycja w Radzie Samorządu Rejonu Trockiego nie podjęła próby wyjaśnienia przyczyn i okoliczności odejścia Sołowjowej ze szkoły.

Dyrektor bez języka polskiego

Władze samorządowe argumentowały nominację nowej p.o. dyrektor koniecznością pełnienia „funkcji czysto menedżerskich", usprawiedliwiając w ten sposób fakt, że nowa przełożona nie zna języka polskiego – będącego językiem nauczania w Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza. Argument ten stoi w głębokiej sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem, duchem prawa oświatowego oraz utrwaloną praktyką sądową.



Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Landwarowie to jedna z nielicznych elitarnych polskich placówek oświatowych w rejonie trockim **Fot. Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Landwarowie, Facebook**

Choć w suchych, technicznych przepisach dotyczących kryteriów powoływania osób pełniących obowiązki dyrektora może brakować bezpośredniego, literalnego zapisu o konieczności władania językiem mniejszości narodowej, to duch prawa oświatowego i cel powołania placówki są jednoznaczne. Dyrektor szkoły nie jest jedynie urzędnikiem finansowym podpisującym faktury. Do jego kluczowych zadań należy sprawowanie wewnętrznego nadzoru pedagogicznego. Jak osoba nieznająca języka wykładowego szkoły może pełnić tą funkcję? Jak może hospitować lekcje, merytorycznie oceniać program nauczania czy weryfikować jakość pracy nauczycieli?

Praktyka sądowa w sprawach administracyjnych wielokrotnie potwierdzała, że akty decyzji dyskrecjonalnej organów samorządowych nie mogą prowadzić do sytuacji, w których realizacja statutowych i konstytucyjnych celów placówki publicznej zostaje zagrożona. Powołanie na stanowisko kierownicze osoby, która z przyczyn obiektywnych (bariera językowa) nie jest w stanie kontrolować procesu edukacji, może być interpretowane przez sądy jako rażące naruszenie interesu społecznego oraz dobra małoletnich uczniów na rzecz celów politycznych.

***

Szkoła mniejszości narodowej pełniąca ważną funkcję kulturotwórczą w lokalnym środowisku potrzebuje stabilnego kierownictwa wyłonionego w sposób transparentny, a nie przedłużającego się zarządu komisarycznego. Najlepszym sposobem na rozwiązanie narosłych wątpliwości jest jak najszybsze ogłoszenie przez samorząd konkursu na stałego dyrektora Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Landwarowie.

W komisji konkursowej mają zasiąść przedstawiciele rady szkoły, reprezentujące rodziców i nauczycieli – i to właśnie ich głos powinien mieć realny wpływ na wybór osoby, która najlepiej rozumie potrzeby i specyfikę tej placówki. Jak dotąd jednak brak jest ogłoszonego harmonogramu otwartego konkursu na stałego dyrektora tego gimnazjum.

Autor jest sygnatariuszem Aktu Niepodległości Litwy.

eprasa.pl 1a15d41ebb

Kandydaci do tytułu

Polak Roku 2026



Karol Dąbrowski
Biathlonista z Wilna, reprezentant Litwy, dwukrotny olimpijczyk



Beata Kowalewska
Nauczycielka historii w Gimnazjum im. Szymona Konarskiego, założycielka teatru „Szkic”



Kinga Geben
Językoznawczyni, wykładowczyni Uniwersytetu Wileńskiego, badaczka polszczyzny



Dariusz Lewicki
Specjalista ds. dziedzictwa kulturowego, członek SKOnSR, prowadzi stronę rossa.lt



Paweł Giliauskas
Harcerz, były przewodniczący ZHPnL, prezes Forum Przedsiębiorczości Polskiej „Korona”



Danuta Mieczkowska-Kowalczuk
Choreografka polonezów maturzystów, była solistka Zespołu „Wilia”



Barbara Jundo-Kaliszewska
Politolożka i historyczka Uniwersytetu Łódzkiego, organizatorka kongresów i konferencji



Barbara Stankiewicz
Naukowczyni, współorganizatorka Kolokwiów Warszawsko-Wileńskich



German Komarowski
Choreograf, kierownik zespołu „Perła”, dyrektor Centrum Kultury w Niemenczynie



Jarosław Wołkonowski
Historyk, profesor Uniwersytetu w Białymstoku, badacz dziejów wileńskiej AK

Plebiscyt Czytelników „Kuriera Wileńskiego” – „Polak Roku 2026”

Kandydat z listy:.....

Imię, nazwisko czytelnika*:.....

Adres e-mail czytelnika*:.....

Telefon czytelnika*:.....

Zgłoszenia (liczba kuponów nie jest ograniczona, w jednej kopercie może być dowolna liczba kuponów) prosimy nadsyłać do 31 grudnia br. na adres redakcji: Birbynių g. 4a, 02121 Vilnius z dopiskiem „Polak Roku 2026”. Kupony można również wrzucać do specjalnej skrzynki, która jest umieszczona w recepcji Domu Kultury Polskiej w Wilnie. ***Dane kontaktowe są opcjonalne** — w przypadku ich braku zgłaszający nie uczestniczy w konkursie dla głosujących. Nagrody dla czytelników będą rozdane podczas gali „PR2026”.

eprasa.pl 1a15d41ebb



Dzień dobry! Zaczynamy nasze spotkanie od dobrego humoru, którego nie zabraknie dzisiaj na naszych stronach. Jeszcze jeden przepis na dobry humor

• Trzy litry śmiechu wymieszać z miarką optymizmu.
• Cztery kostki dobrego humoru zetrzeć z jedną szklanką pogody ducha.
• 175 gramów radosnych zabaw ugotować z dwoma szczyptami chęci działania i kostką miłych wspomnień.
Razem wszystko wlać do blaszki i upiec. Podawać z pięknym uśmiechem.



„Historia małej popielicy, która nie mogła spać" autorstwa Sabine Bohlmann i Kerstin Schoene

Gdy słyszymy hasło „sen zimowy", pierwszym zwierzęciem, jakie przychodzi nam na myśl, jest niedźwiedź, ale w zimowy sen zapada również popielica! Inaczej znosi zimę mała, puchata popielica żyjąca w lasach liściastych, dużych parkach, ogrodach. Zakopuje się metr pod ziemią, zwinięta w kłębek i zapada w sen osłonięta mchem i liśćmi, gdy tylko pojawią się pierwsze przymrozki. Budzi się dopiero w maju, czasem w czerwcu. Temperatura jej ciała spada do 1°C, uderzeń serca i oddechu prawie nie słychać. Przerwy między oddechami mogą trwać około godziny. Podobnie zachowują się krewniacy popielicy: żołędnica, koszatka, orzesznica, jeż czy inne ssaki owadożerne. Wszystkie popielice przygotowują się do zimowego snu. Ale mała popielica w ogóle nie jest zmęczona! Co robić, przecież zaraz wszyscy wokół będą spać? Wszystkie zwierzęta chcą pomóc zasnąć maleństwu, ale każde z nich jest tak bardzo zmęczone, że zasypiają jedno po drugim. A mała popielica wciąż nie może spać… Proponowana książka to opowieść dla dzieci, które kochają historie o zwierzętach, ale niekoniecznie lubią kłaść się spać. Może z małą popielicą będzie im łatwiej zasnąć?

Zagadki

• Dom pszczół i Ewa to będzie...
• Co to za rycerz w słomianej zbroi, różę otula, w ogrodzie stoi.
• Spadają z drzewa żółte, czerwone. Wiatr je niesie w tę i tamtą stronę.

eprasa.pl 1a15d41ebb

Kim jest **naukowiec?**

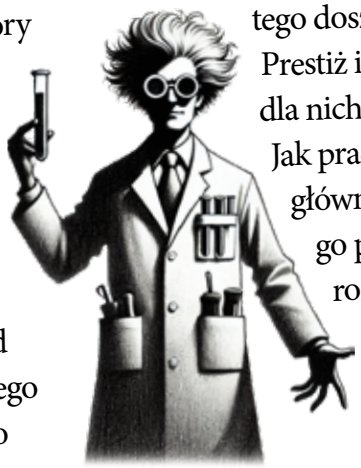

To ekspert w jakiejś dziedzinie nauki, który stosuje w badaniach odpowiednie metody naukowe. Słowo to (ang. scientist) zostało wymyślone w 1833 r. przez Williama Whewella. Wcześniej posługiwano się zwrotami „filozof przyrody" lub „człowiek nauki".

Naukowcy to ludzie, którzy często już od dzieciństwa dążą do zrozumienia, dlaczego świat jest taki, jakim go widzimy, i jak do tego doszło. Mają wrodzoną ciekawość natury. Prestiż i uznanie w środowisku naukowym są dla nich często cenniejsze niż dobrobyt.

Jak pracuje naukowiec? Naukowiec bada głównie zjawiska uniwersalne. Od nowego problemu do nieznanego wcześniej rozwiązania. Do tego używa całej swojej wyobraźni i kreatywności. Naukowcy często projektują aparaturę badawczą wykonując prototypy.

Poznajemy świat. Czy w Indiach żyją Indianie?



Indie to ogromny kraj – siódmy co do wielkości na świecie! Znajdują się na kontynencie azjatyckim. Nie możecie sobie wyobrazić, jak jest duży? Aż 17 razy większy od Litwy! Indie zajmują powierzchnię, która przypomina nieregularny trójkąt, otoczony z trzech stron wodą: Oceanem Indyjskim, Zatoką Bengalską i Morzem Arabskim. Na północy Indii znajdują się Himalaje – najwyższe góry świata!

Czy w Indiach żyją Indianie? Nie dajcie się nabrać – pewnie, że nie! Indianie są mieszkańcami Ameryki! Zostali tak nazwani przez Kolumba, gdy odkrył Amerykę – bo na początku myślał, że dopłynął... do Indii. Mieszkańców Indii nazywamy Hindusami.

Czy wiecie, w jakim języku mówią mieszkańcy Indii? Większość mówi w języku hindi, który wspólnie z angielskim jest urzędowym językiem tego kraju. Ale, mieszkańcy mówią nawet w czternastu głównych językach – a te mają kilkaset odmian. Ciekawe, jak się dogadują?

Zajrzyjcie do atlasu lub popatrzcie na globus i poszukajcie Indii! Już wiecie, gdzie są?

Ciekawostki o Indiach

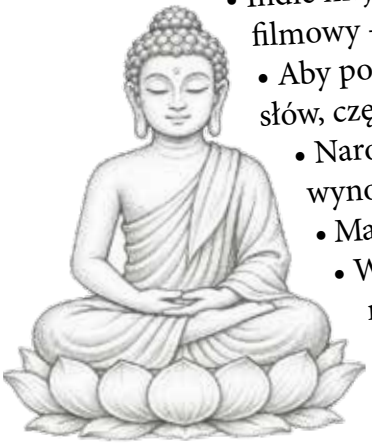

- Lewa ręka jest uważana za nieczystą i nigdy nie jest używana do jedzenia.
- Krowy uważane są za święte. Często można je spotkać swobodnie spacerujące po miastach.
- Indie mają największy na świecie przemysł filmowy – Bollywood.
- Aby podkreślić prawdomówność swoich słów, często łapią się za jedno ucho.
- Narodowym owocem jest mango, zbiory wynoszą 12 mln ton rocznie.
- Marnowanie jedzenia jest niedopuszczalne.
- Większość Hindusów przemywa ręce, nogi i twarz przed jedzeniem.
- Narodowym zwierzęciem jest tygrys bengalski.
- Indie są kolebką szachów.

Ciekawostka

Wyspa, na której żył ptak dodo

Na Oceanie Indyjskim leży niewielka wyspa Mauritius. W jej krajobrazie przeważają wulkaniczne góry oraz płaskowyże. Wyspę porasta bujny tropikalny las. Był on niegdyś miejscem życia dodo – dużego ptaka z rodziny gołębiowatych, obecnie już nieistniejącego. Gatunek dodo zamieszkiwał Mauritius jeszcze 300 lat temu, jednak po przybyciu na wyspę Holendrów, został wytępiony. Bez wątpienia przyczynił się do tego fakt, że ptaki te nie potrafiły latać i stały się łatwym celem polujących na nie Europejczyków.

eprasa.pl 1a15d41ebb



Żanna Stankiewicz, założycielka i wieloletnia kierowniczka Zespołu Tańca Ludowego »Kukułeczka«, od 35 lat z wielką miłością i zaangażowaniem pielęgnuje, zachowuje i popularyzuje tradycje kultury polskiej na Łotwie **Fot. Margarita Vigule, Samorząd Miasta Dyneburga**

35 lat „Kukułeczki”. Święto dla polskiego Dyneburga

Tomasz **Otocki**

W sobotę 14 listopada w Dyneburskim Pałacu Kultury przy Smilšu iela odbył się koncert z okazji 35 rocznicy Zespołu Tańca Ludowego „Kukułeczka”, prowadzonego od przez Żannę Stankiewicz, dyrektorkę lokalnego Centrum Kultury Polskiej. Była to okazja do licznych wspomnień i wzruszeń, a działaczka polonijna z Dyneburga otrzymała od miasta nagrodę „Za Całokształt Działalności”.

W koncercie wzięli udział: mer miasta, społeczność polska Dyneburga, a także polscy przyjaciele zespołu z Łukowa i Oświęcimia.

„Za wieloletnią, sumienną, pełną poświęcenia i niezwykle profesjonalną pracę na rzecz Dyneburga nagrodę »Za Całokształt Działalności« otrzymała Żanna Stankiewicz – założycielka i wieloletnia kierowniczka Zespołu Tańca Ludowego »Kukułeczka«. Od 35 lat z wielką miłością i zaangażowaniem pielęgnuje, zachowuje i popularyzuje tradycje kultury polskiej, wzbogacając życie kulturalne Dyneburga oraz inspirując kolejne pokolenia. Serdecznie gratulujemy Żannie Stankiewicz tego zasłużonego wyróżnienia i dziękujemy za nieoceniony wkład w rozwój kultury naszego miasta” – napisał po polsku i po łotewsku na Facebooku mer Dyneburga Andrejs Elksniņš w dniu, w którym „Kukułeczka” dawała swój koncert.

To ważna wiadomość, bo choć relacje obecnego mera ze społecznością polską nie zawsze układały się harmonijnie, to wypowiedź Elksniņša świadczy o tym, że miasto docenia swoją wielokulturowość i wkład polskiej społeczności w funkcjonowanie miasta. Dyneburg jest wspólnym domem Łotyszy, Polaków, Rosjan, Białorusinów i Żydów. Tak było w międzywojniu, tak jest i obecnie, choć zmieniły się proporcje między narodowościami. »

eprasa.pl 1a15d41ebb

Wzruszenie, wdzięczność i duma

W koncercie, oprócz mera i polskiej społeczności Dyneburga, wzięli udział starzy, wypróbowani przyjaciele „Kukułeczki": Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Łukowskiej „Łukowiacy" oraz Zespół Pieśni i Tańca „Hajduki" z Oświęcimia. Na jubileuszu pojawili się także byli i obecni członkowie zespołu, którzy przyjechali z różnych zakątków Europy: ze Szwecji, Anglii, Czech i Niemiec, a także z różnych miejsc na Łotwie.

„Kurierowi Wileńskiemu" udało się porozmawiać z dyrektorką powstałego w 1997 r. Centrum Kultury Polskiej, działającego w przestrzeni Domu Polskiego przy ulicy Warszawskiej 30. W rozmowie z podkreśla, że jest jednocześnie kierownikiem artystycznym i choreografem zespołu.

– Obecność tych wszystkich ludzi to był dla mnie najpiękniejszy prezent. Moim największym sukcesem nie są koncerty, nagrody czy wyjazdy zagraniczne, ale to, że ci ludzie po tylu latach nadal chcą być razem. Przyjaźnią się, wspierają nawzajem i z radością wracają do „Kukułeczki" – powiedziała „Kurierowi Wileńskiemu" Żanna Stankiewicz. – Widząc ich razem po tylu latach, miałam poczucie, że było warto poświęcić temu zespołowi znaczną część swojego życia.

Czym jest dla dyrektorki Centrum Kultury Polskiej jubileusz? – To przede wszystkim wzruszenie, wdzięczność i duma. To piękne uczucie widzieć, że praca wielu osób, ich zaangażowanie i miłość do polskości przyniosły trwałe efekty – mówi „Kurierowi" Żanna Stankiewicz.

Jak przez lata układała się działalność „Kukułeczki"? Gdzie były momenty łatwe, dające satysfakcję, a gdzie trudne? – Trudności nie brakowało. Jednym z największych wyzwań było pozyskiwanie środków finansowych na działalność zespołu, a przede wszystkim na zakup i odnawianie strojów, bez których trudno wyobrazić sobie występy i godną prezentację polskiej kultury. Korzystając z okazji, chciałabym serdecznie podziękować Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie" im. Jana Olszewskiego za wieloletnie wsparcie, dzięki któremu zespół mógł się rozwijać, wzbogacać swoją garderobę sceniczną i realizować liczne projekty artystyczne.

Zgrany zespół

Jak podkreśla Żanna Stankiewicz, największą satysfakcję zawsze dawała jej praca z dziećmi i młodzieżą oraz możliwość obserwowania ich rozwoju: – To dla mnie szczególnie wzruszające i pokazuje, że „Kukułeczka" jest czymś więcej niż tylko zespołem artystycznym. To miejsce, które łączy ludzi i kolejne pokolenia wokół polskiej kultury, tradycji i wspólnych wartości. Właśnie to przynosi mi największą radość i satysfakcję.

Przez wszystkie lata działania zespołu przez „Kukułeczkę" przewinęło się wiele pokoleń dzieci i młodzieży, a zespół stał się nie tylko miejscem rozwijania talentów artystycznych, lecz także przestrzenią pielęgnowania polskiej kultury, języka i tradycji. Nawiązano przyjaźnie, powstało nawet kilka małżeństw. Dziś ich dzieci również tańczą i śpiewają w „Kukułeczce".

Jednym z członków zespołu był Wiaczesław Jermakow. – „Kukułeczka" była ważną częścią mojego dzieciństwa i pozostawiła po sobie wiele ciepłych wspomnień. Próby, występy, przyjaciele, wyjazdy po Łotwie i do Polski, trema przed wejściem na scenę i to wyjątkowe uczucie satysfakcji po występie, kiedy rozbrzmiewały oklaski publiczności, wszystko to na zawsze pozostanie w mojej pamięci – mówi „Kurierowi Wileńskiemu".

Jak podkreśla, „Kukułeczka" tworzyła zgrany zespół, w którym wszyscy wzajemnie się wspierali. – Dużą wagę przywiązywano do dyscypliny i pracy zespołowej. Te wartości wpajano nam już od najmłodszych lat. Pani Żanna wkładała w swoją pracę całe serce. Zawsze dążyła do perfekcji, dopracowując każdy element tańca i każdy ruch poszczególnych tancerzy. Swoją postawą pokazywała nam, jak ważne jest, aby do tego, co robimy, podchodzić z odpowiedzialnością, zaangażowaniem i dbałością o szczegóły – dodaje Jermakow.

Według Polaka wciąż mieszkającego w Dyneburgu na szczególną uwagę zasługują wyjazdy „Kukułeczki" na festiwale w Polsce, które były doskonałą okazją do ćwiczenia języka polskiego, poznawania nowych ludzi, nawiązywania znajomości i bezpośredniego kontaktu z polską kulturą. – Może zabrzmi to zabawnie, ale właśnie podczas jednego z takich wyjazdów po raz pierwszy poznałem tradycyjne polskie danie bigos. Nie wiem dlaczego, ale akurat to drobne wspomnienie szczególnie mocno utkwiło mi w pamięci – dodaje były członek zespołu.

Jest przekonany, że „Kukułeczka" wciąż odgrywa niezwykle ważną rolę w życiu Dyneburga. –To nie tylko zespół taneczny, ale przede wszystkim wielka rodzina, która łączy kolejne pokolenia i pomaga odkrywać własne korzenie, przybliżając polskie i łotewskie tradycje, uczy przyjaźni, wzajemnego wsparcia i szacunku do drugiego człowieka – dopowiada.

Spokój o przyszłość

Jakie plany na przyszłość ma Żanna Stankiewicz i jakie losy czekają „Kukułeczkę"? – Obecnie jestem już na emeryturze i nadszedł czas, aby przekazać kierownictwo zespołu młodszemu pokoleniu. Moją następczynią została Swietłana Manochina, osoba od wielu lat związana zarówno z „Kukułeczką", jak i z działalnością polskiej społeczności w Dyneburgu. Przez ponad 20 lat pracowała w Centrum Kultury Polskiej, angażując się w liczne przedsięwzięcia służące zachowaniu i promocji polskiej kultury, języka oraz tradycji – informuje prezeska centrum, podkreślając, że sama Manochina jeszcze jako studentka tańczyła w „Kukułeczce", później do zespołu dołączyła jej córka, a okresowo także syn.

– Jestem spokojna o przyszłość „Kukułeczki", ponieważ przekazuję ją osobie sprawdzonej, oddanej sprawom polskości i cieszącej się moim pełnym zaufaniem – dodaje Żanna Stankiewicz.

eprasa.pl 1a15d41ebb

Największym zagrożeniem dla nauki jest całkowite zaufanie odpowiedziom sztucznej inteligencji

Antoni **Radczenko**

Wykrywanie tekstów napisanych przez sztuczną inteligencję, uczciwość akademicka, przyszłość prac dyplomowych i rola wykładowców – to tylko niektóre z wyzwań, przed którymi staje współczesne szkolnictwo wyższe.



Sztuczna inteligencja coraz śmielej wkracza do szkół i uniwersytetów. Studenci wykorzystują ją do pisania prac, przygotowywania prezentacji, analizowania danych, a nawet formułowania wniosków z badań **Fot. Adobe Stock**

Prof. Virginijus Marcinkevičius z Instytutu Nauki o Danych i Technologii Cyfrowych Uniwersytetu Wileńskiego uważa, że największym zagrożeniem związanym z wykorzystaniem sztucznej inteligencji jest całkowite zaufanie jej wynikom przez osobę korzystającą z tego narzędzia.

Sztuczna inteligencja coraz śmielej wkracza do szkół i uniwersytetów. Studenci wykorzystują ją do pisania prac, przygotowywania prezentacji, analizowania danych, a nawet formułowania wniosków z badań. Dla jednych jest to rewolucyjne narzędzie ułatwiające zdobywanie wiedzy, dla innych – poważne zagrożenie dla samodzielnego myślenia i zasad uczciwości akademickiej.

Problem nie sprowadza się jednak wyłącznie do tego, czy student korzysta z ChatGPT lub podobnych tworów. Znacznie ważniejsze staje się pytanie, czy potrafi samodzielnie zrozumieć, zweryfikować i obronić rezultaty, które dzięki nim uzyskał.

Detektory AI nie dają pewności

Jeszcze przed upowszechnieniem się dużych modeli językowych uczelnie korzystały przede wszystkim z programów antyplagiatowych. Ich zadaniem było wyszukiwanie identycznych fragmentów tekstu pochodzących z innych publikacji. W przypadku sztucznej inteligencji mechanizm ten przestaje być wystarczający.

– Współczesne duże modele językowe potrafią samodzielnie przekształcać tekst, dostosowywać styl i zmieniać konstrukcję wypowiedzi. W związku z tym wykrywanie takich treści staje się bardzo trudne – zauważa w rozmowie z „Kurierem Wileńskim” prof. Virginijus Marcinkevičius.

Co prawda na rynku pojawiły się już narzędzia próbujące rozpoznawać teksty wygenerowane przez AI. Problem w tym, że ich skuteczność pozostaje zbyt ograniczona. »

eprasa.pl 1a15d41ebb

Jak podkreśla ekspert, wyniki takich systemów są jedynie nieznacznie lepsze od losowego zgadywania.

Potwierdzają to również badania naukowe. W opublikowanym w 2025 r. przeglądzie „A Survey on LLM-Generated Text Detection: Necessity, Methods, and Future Directions", autorstwa Junchao Wu i współpracowników, opisano ograniczenia współczesnych metod wykrywania tekstów generowanych przez duże modele językowe. Naukowcy zwracają uwagę m.in. na problemy z wiarygodnością detektorów, różnorodnością danych treningowych oraz podatnością systemów na próby obejścia zabezpieczeń.

Niemniej opracowano pewne sposoby identyfikowania pochodzenia treści. Jednym z nich są tzw. znaki wodne, czyli niewidoczne dla użytkownika oznaczenia umieszczane w wygenerowanych materiałach. W przypadku tekstu mogą polegać na odpowiednim doborze słów, natomiast w obrazach – na zastosowaniu specjalnych sygnałów cyfrowych.

Praca studenta pod lupą wykładowcy

Zdaniem naszego rozmówcy, jeśli technologia nie daje jednoznacznej odpowiedzi, czy pracę napisał człowiek, czy algorytm, wykładowcy muszą zwracać uwagę również na inne sygnały. – Analizując prace studentów, można pośrednio dostrzec pewne oznaki wskazujące na wykorzystanie generatywnej AI – mówi profesor.

Wśród tych oznak można wymienić: bibliografię, w której dominują ogólnodostępne źródła internetowe, nadmierna objętość pracy, stosowanie nietypowych metod badawczych. Szczególnie istotna jest umiejętność wyjaśnienia własnej pracy przez studenta.

– Studenci często nie potrafią wyjaśnić działania wykorzystanego kodu programistycznego lub zastosowanych narzędzi – zauważa ekspert. To właśnie ten problem może się okazać jednym z najważniejszych wyzwań dla uczelni. Praca może wyglądać profesjonalnie, ale niekoniecznie świadczyć o rzeczywistej wiedzy jej autora.

Skala wykorzystania sztucznej inteligencji w edukacji szybko rośnie. Prof. Marcinkevičius przywołuje wyniki badania przeprowadzonego w Danii, według których z pomocy AI korzysta nawet 85 proc. studentów. W Estonii odsetek ten ma sięgać 90 proc. Wśród nauczycieli akademickich jest na poziomie 30 proc.

Tak duża różnica pokazuje, że studenci i wykładowcy mogą mieć odmienne podejście do nowych technologii. Studenci chcą sprawnie i możliwie szybko realizować zadania, natomiast wykładowcy odpowiadają za przekazanie wiedzy, która wymaga samodzielnego wysiłku intelektualnego i systematycznego ćwiczenia umysłu. – Czym innym jest stworzenie programu, który działa i zapewnia oczekiwany rezultat, a czym innym umiejętność wyjaśnienia, w jaki sposób ten program działa – podkreśla prof. Marcinkevičius.

Profesor nie neguje przy tym korzyści płynących z wykorzystania sztucznej inteligencji. Przeciwnie, uważa, że narzędzia te mogą znacząco wspierać proces uczenia się. Zwraca jednak uwagę na nierówności, jakie mogą powstawać między studentami korzystającymi z AI a tymi, którzy z niej nie korzystają.

Koniec tradycyjnych prac dyplomowych?

Rozwój AI stawia pod znakiem zapytania dotychczasowe metody oceniania studentów. Jeżeli duży model językowy potrafi przygotować rozbudowaną pracę licencjacką lub magisterską, sama jej ocena może nie wystarczyć do zweryfikowania rzeczywistych kompetencji autora.

Zdaniem prof. Marcinkevičiusa uczelnie będą musiały zmodyfikować sposoby sprawdzania wiedzy. Jednym z rozwiązań może być większy nacisk na ustną prezentację prac, dyskusję z wykładowcą i odpowiadanie na szczegółowe pytania dotyczące przeprowadzonych badań.

Warto również zastanowić się nad tym, czy prace dyplomowe w dotychczasowej formie nadal spełniają swoją funkcję. – Jeżeli wcześniej wystarczyło, aby studenci przedstawiali swoje prace w formie pisemnej, to obecnie powinni również umieć je zaprezentować ustnie i odpowiadać na pytania zadawane podczas prezentacji – wskazuje ekspert.

Nie oznacza to jednak, że tradycyjny system edukacji stracił rację bytu. Profesor przypomina, że szkolnictwo nieustannie ewoluuje, a każda kolejna technologia wpływa na metody nauczania i oceniania.

Na możliwe korzyści i zagrożenia związane z wykorzystaniem AI w edukacji zwraca uwagę Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD). W raporcie z 19 stycznia 2026 r. przedstawiono wyniki badań dotyczących wpływu generatywnej sztucznej inteligencji na proces kształcenia. Autorzy raportu wskazują, że korzystanie z ogólnodostępnych narzędzi AI może poprawiać jakość wykonywanych przez uczniów i studentów zadań, ale nie musi automatycznie przekładać się na rzeczywisty wzrost wiedzy i umiejętności. W niektórych przypadkach przewaga osób korzystających z AI zanika, a nawet odwraca się podczas egzaminów, na których nie mogą one korzystać z tych narzędzi.

Jednocześnie OECD dostrzega potencjał AI w indywidualizacji nauczania, wspieraniu nauczycieli i rozwijaniu kompetencji uczniów. Warunkiem jest jednak odpowiednie zaprojektowanie procesu edukacyjnego i świadome wykorzystanie technologii. To podejście jest zbieżne z opinią prof. Marcinkevičiusa, który postrzega sztuczną inteligencję przede wszystkim jako ogromną bazę wiedzy wyposażoną w bardzo wygodną wyszukiwarkę.

Najważniejsze pytanie dotyczące przyszłości edukacji nie brzmi więc, czy sztuczna inteligencja zastąpi wykładowców, ale jak zmienić system kształcenia, aby nowe narzędzia rzeczywiście wspierały zdobywanie wiedzy. Uczelnie będą musiały nauczyć studentów nie tylko korzystania z AI, ale również krytycznej oceny jej odpowiedzi, weryfikowania informacji i samodzielnego rozwiązywania problemów. Istotne będzie też jasne określenie zasad dopuszczalnego wykorzystania sztucznej inteligencji w pracach zaliczeniowych, dyplomowych i badawczych.

Profesor Marcinkevičius zwraca uwagę, że niezależnie od rozwoju technologii podstawowy mechanizm uczenia się pozostaje niezmienny – wiedza musi dotrzeć do ludzkiego mózgu i zostać w nim zapisana, aby można było z niej korzystać w przyszłości.

eprasa.pl 1a15d41ebb



Do eksplozji, które przerwały trzy z czterech nitek gazociągów łączących Rosję z Niemcami, doszło we wrześniu 2022 r. w pobl

Wysadzenie Nord Stream. Ukraiński oficer przed niemieckim sądem

Antoni **Rybczyński**

W pierwszym procesie dotyczącym wysadzenia gazociągów na dnie Bałtyku nie chodzi tylko o osądzenie oskarżonego. Główne pytanie brzmi: czy był to atak na cel cywilny, czy jednak de facto wojskowy? Niemiecka prokuratura nie ma wątpliwości, dlatego ukraińskiego oficera oskarżono m.in. o zbrodnię wojenną. Serhij Kuzniecow na razie milczy – powołując się na tajemnicę obowiązującą go jako wojskowego.

Do eksplozji, które przerwały trzy z czterech nitek gazociągów łączących Rosję z Niemcami, doszło we wrześniu 2022 r. w pobliżu Bornholmu – ponad siedem miesięcy po wybuchu pełnoskalowej wojny Rosji przeciw Ukrainie. Początkowo wskazywano właśnie na Moskwę, z kolei Kreml twierdził, że to operacja zachodnich służb.

Szwecja i Dania dość szybko umorzyły sprawę, natomiast Niemcy nie odpuściły. Po żmudnym śledztwie tamtejsza prokuratura oskarżyła o sabotaż grupę Ukraińców i zaczęła ich ścigać na terenie całej Europy. Ostatecznie w niemieckiej celi wylądował Serhij Kuzniecow – i to jego proces ruszył w październiku przed Najwyższym Sądem Krajowym w Hamburgu.

Wołodomyr Żurawlow został natomiast zatrzymany w Chorwacji i wciąż walczy o uniknięcie ekstradycji do RFN. Pozostali rzekomi dywersanci wciąż są poszukiwani przez Niemcy.

Niemcy sądzą ukraińskiego oficera

Według niemieckich śledczych Kuzniecow wraz z sześcioma innymi osobami, wśród których byli nurkowie, wynajęli jacht w niemieckim mieście Rostock i wypłynęli na morze. W pobliżu Bornholmu mieli podłożyć ładunki wybuchowe.

26 września 2022 r., w odstępie ok. 17 godzin, w pobliżu duńskiej wyspy doszło do kilku wybuchów, które uszkodziły obie nitki gazociągu Nord Stream 1, którym w tym momencie nie transportowano gazu, oraz jedną z dwóch nitek Nord Stream 2, który nie został jeszcze oddany do użytku, ale zawierał tzw. techniczny gaz.

Niezależnie do tego, kto to zrobił, była to akcja przeprowadzona na najwyższym poziomie. Nurkowie musieli zejść na ok. 80 metrów w trudnych warunkach – na dodatek z ładunkami wybuchowymi – i znaleźć odpowiednie miejsce na ich założenie. Rury są pokryte betonem, nie ma go tylko w miejscach ich łączeń. »

eprasa.pl 1a15d41ebb



liżu Bornholmu **Fot. Adobe Stock**

Właśnie tam umieszczono materiał wybuchowy znajdujący się w metalowych pojemnikach.

Niemcy doszli do wniosku, że zrobiła tu grupa Ukraińców. Żmudne śledztwo dało im listę rzekomych sprawców – za którymi wysłano międzynarodowe listy gończe. Według prokuratury na czele grupy stał właśnie Serhij Kuzniecow. Został on aresztowany w sierpniu 2025 r. we Włoszech, gdzie przebywał na wakacjach z rodziną. Trafił do więzienia w Ferrarze, gdzie przez 11 dni prowadził strajk głodowy. Pod koniec listopada 2025 r. został przekazany stronie niemieckiej.

Zarzuca mu się: naruszenie praw i zwyczajów wojennych, zniszczenie obiektów cywilnych, spowodowanie wybuchu oraz zakłócenie funkcjonowania ważnych obiektów infrastruktury komunalnej. W sumie Niemcom wystarczyło to, by oskarżyć żołnierza ukraińskich Sił Operacji Specjalnych o... zbrodnię wojenną.

Jako pomysłodawca i organizator ataku na Nord Stream w dokumentach śledczych pojawia się były oficer ukraińskich służb wywiadowczych Roman Czerwinski, który zaprzecza oskarżeniom. Operację miał zatwierdzić ówczesny głównodowodzący ukraińskiej armii Wałerij Załużny. Ten również odrzuca oskarżenia.

Sam Kuzniecow milczy. Obrona tłumaczy to ograniczeniami obowiązującymi ukraińskiego żołnierza. Wydarzenia i okres, które sąd bada, pokrywają się z okresem służby oskarżonego w oddziale Sił Operacji Specjalnych. Ukraińskie ustawodawstwo przewiduje, że tajemnica państwowa obejmuje zarówno operacje SSO, jak i informacje dotyczące składu osobowego oddziału.

Już 14 października adwokaci złożyli w sądzie wniosek o umorzenie postępowania w sprawie, ponieważ Kuzniecow nie może swobodnie składać zeznań. Sąd odrzucił wniosek obrony. – Zachowanie tajemnicy nie stanowi przeszkody dla postępowania – dodała sędzia Anne Meier-Goering. Dodała, że swoboda składania zeznań w Niemczech nie jest ograniczona przez przepisy służbowe obcego państwa.

Wojna usprawiedliwia atak na Nord Stream?

Kluczowe pytania, na które sąd będzie musiał znaleźć odpowiedź, wydając wyrok, brzmią: Czy gazociągi łączące Rosję z Niemcami były w czasie napaści Moskwy na Ukrainę infrastrukturą cywilną, czy obiektem służącym państwu agresorowi? Czy gazociągi mogły stanowić legalny cel wojskowy? Odpowiedź zależy jednak nie tylko od tego, do kogo należały rury i dokąd trafiały pieniądze ze sprzedaży gazu.

Gazociąg Nord Stream jest kontrolowany przez spółkę Nord Stream AG, w której Gazprom posiada 51 proc. udziałów; pozostała część należy do spółek zachodnioeuropejskich. Spółka Nord Stream 2 AG należy wyłącznie do Gazpromu.

Adwokaci Kuzniecowa twierdzą, że Rosja wykorzystywała gazociągi do swoich celów politycznych i finansowych. Gazprom nie tylko jest ważnym źródłem dochodów prowadzącej wojnę Rosji z racji swojej działalności biznesowej (choćby zarabianie na sprzedaży gazu poprzez Nord Stream). Koncern też bezpośrednio finansuje najemnicze formacje wojskowe w wojnie przeciwko Ukrainie.

Sąd odmówił zresztą spółkom Nord Stream AG i Nord Stream 2 AG przystąpienia do postępowania w charakterze oskarżycieli posiłkowych. Gdyby taką zgodę uzyskały, oznaczałoby to ni mniej ni więcej, jak dopuszczenie rosyjskich służb specjalnych do materiałów śledztwa. Sprawa ma charakter międzynarodowy, dotyczy też działań służb specjalnych i organów ścigania różnych państw (w tym Polski), a zgromadzony materiał liczy ponad 20 tys. kart i obejmuje dużą ilość zabezpieczonych danych elektronicznych.

Polskie sądy oceniają sprawę jednoznacznie

W sprawie wysadzenia gazociągów zapadło już orzeczenie sądowe, które pokazuje podobne podejście do oceny tych wydarzeń. W październiku ub.r. sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie Dariusz Łubowski odmówił ekstradycji do Niemiec ukraińskiego nurka Wołodymyra Żurawlowa, również ściganego przez Niemców, a zatrzymanego w Polsce. Sędzia uzasadnił swoją decyzję m.in. tym, że Ukraina prowadzi wojnę obronną przeciwko rosyjskiej agresji, a działania skierowane przeciwko infrastrukturze krytycznej wroga należy oceniać w tym kontekście.

Ukrainiec został jednak ponownie zatrzymany w Chorwacji 19 sierpnia br., gdzie przyjechał jako konsultant przy produkcji filmu fabularnego o sabotażu na Nord Stream. 24 września Sąd Okręgowy w Puli zgodził się na ekstradycję Żurawlowa. Obrona zapowiedziała apelację, a sam Ukrainiec złożył wniosek o azyl polityczny w Chorwacji, uzasadniając to tym, że w RFN nie może liczyć na uczciwy proces (wniosek nie wstrzymuje automatycznie procedury ekstradycji).

Niemcy zarzucają mu nie tylko sabotaż przeciwko porządkowi konstytucyjnemu i umyślne spowodowanie eksplozji, lecz także zbrodnię wojenną związaną z atakiem na obiekty cywilne i zakłóceniem funkcjonowania infrastruktury komunalnej. W razie wyroku skazującego Żurawlowowi grozi 15 lat więzienia.

eprasa.pl 1a15d41ebb



Dariusz Wiśniewski: Wiele wyzwań po obu stronach granicy polsko-litewskiej jest podobnych. Polskie i litewskie szkolnictwo zmagają się z problemami kadrowymi i demografią **Fot. Apolinary Klonowski**

Konsul Dariusz Wiśniewski: „Usłyszeliśmy deklaracje, teraz chcemy poznać konkrety”

Rozmawiał Apolinary **Klonowski**

O Połukniu, Orlenie, o tym, czy relacje polsko-litewskie czeka to, co spotkało relacje polsko-ukraińskie, i o tym, że państwo polskie nie będzie wtrącać się w wewnętrzne sprawy Wilna, w którego samorządzie zasiadają polscy radni – rozmawiamy z konsulem generalnym RP na Litwie Dariuszem Wiśniewskim.

Apolinary Klonowski: Spotykamy się półtora roku po naszej poprzedniej rozmowie. Od wielu rozmówców słyszę, że jest Pan już „naszym konsulem”.
Dariusz Wiśniewski: Też to słyszałem i przyjmuję to jako komplement i zobowiązanie. Proszę jednak pamiętać, że niezależnie od tego, jak bardzo jestem „wasz”, jestem przede wszystkim polskim dyplomatą, a moim podstawowym obowiązkiem jest udział w realizacji zadań polskiej polityki zagranicznej wyznaczanych przez władze Państwa Polskiego. Szczęśliwie w bardzo wielu dziedzinach interesy Państwa Polskiego na Litwie i oczekiwania polskiej społeczności na Litwie są bardzo bliskie. Zasadniczych sprzeczności tu nie ma.

Mam wrażenie, że sytuacja jest dziś jednak bardziej napięta. Niby relacje polsko-litewskie są strategiczne, a pojawiają się problemy, których wcześniej nie było – choćby Połuknie. Czy słyszał Pan Konsul jakieś deklaracje strony litewskiej? Przejmowanie zreorganizowanej szkoły przez ministerstwo niby się rozpoczęło – i zapadła cisza.
Polska i Litwa graniczą z Białorusią i Rosją, państwami innej kultury politycznej, które podejmują wobec nas działania, łagodnie mówiąc, nieprzyjazne, a mówiąc wprost wrogie. Mamy więc [Polska i Litwa] bardzo duże pole wspólnoty. Ci, którzy analizują ostatnie trzydzieści kilka lat, pamiętają lata 90. i plany reformy szkolnej z 2010–2011 r., które napotkały silny opór polskiej społeczności. Nie ma wątpliwości, że przeszliśmy wspólnie długą drogę ku lepszemu zrozumieniu i porozumieniu. Dziś łatwo niektórym mówić, że być może kilka czy kilkanaście lat temu Polsce zabrakło zdecydowania. Na przykład niektórzy krytycy prezydenta Lecha Kaczyńskiego zarzucali mu, że za często przyjeżdżał do Wilna. Ale pamiętam jego ówczesnych współpracowników, którzy mówili: potrzeba cierpliwości, spokojnej rozmowy, wiemy, jaki bagaż historyczny niosą litewskie elity, i Polskę jako większego partnera stać na cierpliwość, na pewien rodzaj wyrozumiałości.

Minęło jednak 35 lat i ta cierpliwość po polskiej stronie, można powiedzieć, się kończy. W całym spektrum politycznym w Polsce niezależnie od sporów dotyczących polityki wewnętrznej, panuje przekonanie, że coś w stosunkach polsko-litewskich jest nie tak.
Państwo polskie mówi to ustami marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego [wystąpienie z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja], wiceministrów spraw zagranicznych Roberta Kupieckiego i Artura Harazima, wreszcie specjalnego wysłannika prezydenta Karola Nawrockiego, który rozmawiał tu w Wilnie z doradczynią prezydenta Litwy [Jolantą Karpavičienė – przyp. red.]. Ostatnio mówili o tym posłowie z Komisji Edukacji Narodowej Sejmu RP w czasie rozmów deputowanymi w litewskim Sejmie. Przekaz brzmi mniej więcej tak: „Drodzy sąsiedzi, drodzy przyjaciele, nie domagamy się niczego nadzwyczajnego. Przypominamy, że zasada wzajemności nie do końca obowiązuje w naszych relacjach, że pewne standardy Unii Europejskiej nie są u Was przestrzegane i prosimy, żebyście – mówiąc potocznie –ogarnęli te tematy”.
Pani doradczyni prezydenta Nausėdy zapewniła wysłannika polskiego prezydenta, że sprawa szkoły w Połukniu zostanie rozwiązana na poziomie państwowym. Podobne słowa padły z ust premiera Mindaugasa Sinkevičiusa w rozmowie z premierem Donaldem Tuskiem w Warszawie. Usłyszeliśmy deklaracje, teraz chcielibyśmy poznać konkrety – mam nadzieję, że przekazane zostaną choćby minister Barbarze Nowackiej, która za kilkanaście dni przyjeżdża do Wilna na spotkanie z minister Ramintą Popovienė.

Strona litewska odpowiada zwykle, że szkoły to kompetencja samorządów, a pisownię reguluje ustawa o języku państwowym.
Znamy te uwarunkowania i dlatego prosimy stronę litewską o przygotowanie rozwiązań systemowych. I my, i nasi partnerzy doskonale wiemy, jakie standardy obowią- »

eprasa.pl 1a15d41ebb

zują w Unii Europejskiej. Parlamentarzyści ze Skandynawii, Austrii czy Włoch ze zdumieniem słuchają, jak wygląda np. dwujęzyczność oficjalnych nazw miejscowych. Po polskiej stronie granicy – na Podlasiu, Sejneńszczyźnie, Kaszubach, Opolszczyźnie – nie ma z tym problemu. Na oficjalnych tablicach przy wjeździe i wyjeździe z miejscowości, w których mieszka spora grupa obywateli RP z tej czy innej mniejszości narodowej, od lat mamy napisy dwujęzyczne. Na Litwie tak nie jest, a Państwowa Inspekcja Językowa jest bardzo wyczulona.
Innym standardem europejskim jest, że tam, gdzie mieszka mniejszość narodowa, urząd zapewnia obsługę interesanta w języku mniejszości, i to nie na zasadzie dobrej woli – bo urzędniczka akurat mówi po polsku, więc sama proponuje to interesantowi. Tylko oficjalnie interesant wie, że mu się to należy, nie musi prosić, ma do tego prawo. Na Litwie w wielu miejscach tak się dzieje, ale ma to miejsce dzięki dobrej woli kierownika urzędu.
Szkoły, które potocznie nazywamy polskimi, to szkoły publiczne, litewskie...

Utrzymywane z podatków podatników, Polaków, którzy są obywatelami Litwy.
Polska społeczność, tak jak poznałem jej licznych członków, to lojalni obywatele Litwy, którzy z tym państwem wiążą przyszłość, swoją i swoich dzieci. Niestety, co jakiś czas w litewskiej przestrzeni publicznej pojawiają się nieprawdziwe głosy, że polscy rodzice nie chcą, żeby dzieci uczyły się litewskiego. To kompletna bzdura. Wszyscy polscy rodzice, z którymi rozmawiam, mówią: „To oczywiste, że moje dziecko musi perfekcyjnie znać język państwowy. Tu mieszka, tu się uczy, tu będzie pracować, a nie da się tego robić bez biegłej znajomości języka państwowego". Ale dodają, że nauka litewskiego w klasach początkowych według tych samych elementarzy, co na całej Litwie jest bardzo wymagająca, żeby nie powiedzieć zniechęcająca udręka.
Dlatego przypuszczam, że minister Nowacka będzie m.in. chciała rozmawiać o większej elastyczności w nauczaniu litewskiego w klasach początkowych: żeby dzieci, które w domu, na podwórku i w kościele słyszą głównie polski, uczyły się litewskiego od pierwszej klasy, ale w trochę inny sposób niż dotychczas np. z większym wykorzystaniem instrumentów glottodydaktycznych.
Warto w tym miejscu zaznaczyć, że według oficjalnych danych litewskich dziś nie ma różnicy w wynikach zdawalności matur z litewskiego między uczniami szkół litewskich i polsko-litewskich.

Chyba że do porównania dorzuci się szkoły rosyjskie.
To kolejny wątek zamierzonej albo niezamierzonej manipulacji. Do jednego worka niektórzy politycy czy komentatorzy wrzucają się dzieci polskiej i rosyjskiej mniejszości oraz dzieci imigrantów: Ukraińców, Białorusinów, Uzbeków i innych narodowości. Taka statystyka fałszuje rzeczywistość.
Rozmawiamy o tych wszystkich sprawach z partnerami litewskimi cierpliwie i merytorycznie. Rozumiemy, wiele z tych tematów dotyczy przede wszystkim wewnętrznych spraw Republiki Litewskiej. Polska mniejszość narodowa to obywatele Litwy, ale polska konstytucja i polskie ustawy upoważniają nas, polskich dyplomatów, do zajmowania się sytuacją Polaków mieszkających poza granicami Macierzy. Gdybyśmy tego nie robili, sprzeniewierzylibyśmy się naszej misji.

Co się stanie, kiedy cierpliwość Polski się wyczerpie?
Mam nadzieję, że liderzy Litwy uświadomią sobie – myślę, że wielu już to zrobiło – że szkoda czasu prezydentów i premierów na sprawy, które można załatwić stosunkowo szybko w spokojnym dialogu ekspertów. Mamy zbyt wiele innych poważnych wyzwań przed sobą. Niestety, na Litwie, tak jak w każdym innym kraju, są politycy, którzy czy ze względu na swoje dość radykalne – moim zdaniem – przekonania, czy ze względu na cyniczny „przedwyborczy pragmatyzm" działają w sposób sprzeczny z interesami całego państwa. Znamy wszyscy powiedzenie o bliskości koszuli ciału, ale osobiście uważam, że odpowiedzialny polityk musi umieć pokazać swojemu lokalnemu elektoratowi, że czasami interes państwa musi otrzymać priorytet. Fantastycznym przykładem jest prezydent Valdas Adamkus, którego dziedzictwo to trwała część historii Litwy i naszego regionu.
Litewska elita to ludzie wykształceni, coraz mniej z nich pamięta Związek Sowiecki, wiedzą, jakie modele działają w Europie. Poza światłem reflektorów mówią: „myślimy bardzo podobnie". Ale kiedy przychodzi do negocjowania treści projektów albo głosowania nad ustawą, wciąż jest dużo wstrzemięźliwości i oglądania się na innych. Przed tymi Litwinami, którzy widzą wartość w dobrych relacjach z Polską, ale też przed nami polskimi dyplomatami, jest wiele pracy edukacyjnej. Niedawno rozmawiałem z wybitnym litewskim intelektualistą...

Zdradzi Pan nazwisko?
Nie zdradzę. Mówił on: „O co wam chodzi z tymi znakami diakrytycznymi? Jeśli polsko-litewskie partnerstwo strategiczne ma się rozsypać z powodu trzech znaków, to jaka jest jego wartość?".
Trudno mi przyjąć taką argumentację, ale wierzę, że spokojne rozmowy są potrzebne. Rozumiem, że po obu stronach są osobiste zadry i wyniesione ze szkoły stereotypy i uproszczenia. Ale po polsku mówi się: tylko krowa nie zmienia poglądów.

Jest też powiedzenie: tłumaczyć jak krowie na rowie. Ile czasu można pewne rzeczy tłumaczyć?
Do skutku. Co do pisowni i znaków diakrytycznych to słyszałem od partnerów litewskich, że przerobienie oprogramowania informatycznego umożliwiającego stosowanie wszystkich znaków diakrytycznych w oficjalnych dokumentach litewskich będzie bardzo kosztowne. Technicznie to absolutnie wykonalne i de facto już się wydarzyło i na dodatek zostało sfinansowane ze środków europejskich. Skoro obywatel Polski narodowości litewskiej może zapisać swoje imię i nazwisko w dokumentach urzędowych w wybrany przez siebie sposób z dowolnym znakiem diakrytycznym, to dlaczego obywatel Litwy narodowości polskiej, nie może zrobić tego samego, skoro w całej Europie to standard? »

eprasa.pl 1a15d41ebb

Pokazujemy partnerom litewskim, że utrzymywanie tego stanu rzeczy działa na ich niekorzyść.

Obawia się Pan przesilenia podobnego jak w relacjach z Ukrainą?
Myślę, że partnerzy litewscy bardzo uważnie obserwują większą asertywność polskich władz wobec Ukrainy i potrafią wyciągać wnioski. Nikt w Polsce nie chce pogorszenia stosunków ani z Ukrainą, ani z Litwą. Litwini, którzy przychodzą do konsulatu potwierdzić profil zaufany [internetowy profil potrzebny dla zatwierdzania formalności z polskim urzędami w trybie zdalnym – przyp. red.], często mówią mi, że mają z Polską świetną współpracę biznesową i chcą jej kontynuacji i rozwoju. Nad tym musimy pracować, a drobne sprawy rozwiązywać bez podgrzewania atmosfery. Na tym polega praca dyplomaty: nie w świetle jupiterów, tylko za drzwiami gabinetów: rozmawiać, przekonywać i trzymać się faktów.

Czy Polska nie wydaje się jednak przez to słaba? Teraz na Litwie dyskutuje się o podatku od nadzwyczajnych zysków, choćby Orlenu [Lietuva – przyp. red.]. Mowa o 50 mln euro – w skali państwa śmiesznej kwocie.
Nie wiem, na ile to dyskusja dla samego dyskutowania czy stroszenie piór przy świadomości, że w Seimasie – tu spekuluję – nie ma dla tego większości. Także niektórzy litewscy eksperci i politycy argumentują, że zysk z takiego podatku będzie niewielki, a naruszy on podstawy zaufania. Orlen Lietuva to nie tylko biznes, to przedsięwzięcie strategiczne dla obu państw.

Litwa obiecała wesprzeć inwestycję i tego nie zrobiła. Dziś padła propozycja, by z podatku zrezygnować, uznać to za obiecane wsparcie i zamknąć sprawę.
Nie znam szczegółów tej propozycji. Ale prezes Orlenu Ireneusz Fąfara podał niedawno, że przez dwadzieścia parę lat Orlen zainwestował na Litwie dużo więcej, niż zarobił. Modernizacja rafinerii w Możejkach, tzw. bottom of the barrel i hydrokraking, jest zrealizowana w 70–80 procentach i opóźniona, bo główny wykonawca zbankrutował, a Orlen Lietuva przejął jego zobowiązania wobec litewskich podwykonawców. Nie sądzę, żeby Orlen czy państwo polskie oczekiwali od Litwy wyjątkowych przywilejów. Jedziemy na tym samym wózku i łączy nas zbyt wiele, żebyśmy pozwalali sobie na „przyjemność" pokazywania palcem, kto ma zapłacić. Niezależnie od pohukiwań niektórych polityków, po litewskiej stronie jest dobre zrozumienie znaczenia tego projektu.

Polacy na Litwie byli ostatnio zszokowani, jak mało politycy polskiej narodowości w Wilnie są zainteresowani polskimi napisami na tablicach, które chce umieścić samorząd – choćby tej poświęconej Józefowi Czechowiczowi. Co gorsza, dziennikarze przyłapali ich na nieścisłości: mówili, że zwracali się z wnioskami do samorządu, a z samorządu wiemy, że nie zwracali się. Gdy zostali z tym skonfrontowani, bronili się, że może się faktycznie nie zwracali, ale Litwini powinni się byli domyślić bez prośby. Czy wobec bezsilności tych polityków państwo polskie zamierza interweniować, by ratować sytuację?
Sprawa jest ambasadzie znana, ale to wewnętrzna sprawa miasta Wilna. Minister spraw zagranicznych Litwy Kęstutis Budrys, mówiąc o Połukniu, powiedział kiedyś, że komuś zabrakło wrażliwości. Prawdopodobnie tak jest w przypadku tablic upamiętniających Józefa Czechowicza oraz Wincentego i Ludomira Ślendzińskich. Wrażliwość to w polityce towar obciążony dużym ryzykiem, bo ostatecznym testem dla polityków są wybory, a wybory samorządowe są za cztery miesiące. Wydaje mi się jednak, że nikomu nie spadłaby korona z głowy, gdyby te osoby upamiętniono, podając też polskie brzmienie imion i nazwisk. Rozumiem, że standard tabliczek w Wilnie jest jednolity...

Co też, jak się okazało, nie do końca jest prawdą.
No właśnie, przy dobrej woli i wrażliwości można coś wymyślić. Niedawno przy zaułku Jerzego Giedroycia stanęła stała tablica informacyjna z tekstem w języku polskim. Są w Wilnie ulice Islandijos i Varšuvos, ale jest też Niemiecka i Żydowska. Jest więc pole do wspomnianej wrażliwości, opartej na dobrej woli i zaufaniu.

Wcześniejsze tablice, choćby Mickiewicza czy Słowackiego, załatwiała Fundacja im. Józefa Montwiłła, czyli m.in. Władysław Korkuć i Henryk Sosnowski. Kto dziś powinien teraz złożyć taki wniosek, skoro polscy radni nie potrafią?
Nie mam pojęcia. W rozmowach z władzami samorządowymi możemy zwracać na pewne rzeczy uwagę, ale jesteśmy jak najdalsi od wymuszania decyzji. Odwołujemy się raczej do odpowiedzialności, wskazujemy, że dana decyzja jest źle przyjmowana przez polską mniejszość, a uzysk z niej będzie minimalny albo wręcz ujemny. A tu chodzi o drobiazg – dwie tablice. Jednak to jest sprawa miasta. A więc też sprawa radnych.
Podobnie Społeczny Komitet Opieki nad Starą Rossą regularnie zwraca uwagę władz Wilna na śmieci uprzątane zbyt rzadko z historycznych cmentarzy, na za małą liczbę pojemników na śmieci czy – jak to ładnie mówicie na Litwie – sporządkowanie alejek, których nawierzchnia nie wytrzymała konfrontacji z ulewnym deszczem. Ale jest też na całej Litwie wiele samorządów, i to nie tylko w rejonie solecznickim, gdzie opieka nad miejscami pamięci czy partnerstwa z polskimi gminami tworzą konkretną pozytywną wartość.

Pan profesor Ragauskas w rozmowie z „Kurierem Wileńskim" chętnie mówił po polsku, a pan prezes Pilasiewicz z Augustowa używał niektórych litewskich słów...
No właśnie. Takie rzeczy warto, jak mówią Francuzi, waloryzować. Bardzo wiele wyzwań po obu stronach granicy polsko-litewskiej jest podobnych. Polskie i litewskie szkolnictwo zmagają się z problemami kadrowymi i demografią, wyzwania związane z przemocą w szkołach albo z dostępem do mediów społecznościowych dla dzieci to przestrzeń, gdzie władze państwowe i eksperci mogą i powinny wymieniać się dobrymi praktykami.

Docierają głosy, że w rejonie trockim wyznacza się dyrektorów Litwinów z zadaniem wygaszania tych »

eprasa.pl 1a15d41ebb

> Partnerzy litewscy bardzo uważnie obserwują większą asertywność polskich władz wobec Ukrainy i potrafią wyciągać wnioski. Nikt w Polsce nie chce pogorszenia stosunków ani z Ukrainą, ani z Litwą.

szkół. W latach 90., kiedy samorządy nie przestrzegały prawa, wprowadzano zarząd komisaryczny. Dziś Litwa rozkłada ręce: „co my możemy, to samorządy".
Jeśli się nie mylę, zarządy komisaryczne wprowadzano wtedy nie tylko z powodów szkolnych. Ile było w tym polityki o zabarwieniu – nie chcę używać tego słowa – nacjonalistycznym, to już historia.
Mam nadzieję, że trwające konsultacje zwiększą poczucie bezpieczeństwa polskiej mniejszości, a u litewskich urzędników niższego szczebla wzmocnią przekonanie, że Polacy są dla tego państwa ogromną wartością, co politycy z najwyższej półki często deklarują. W terenie bywa różnie, ale w bardzo wielu miejscach obraz jest bardzo pozytywny.

Dochodzi też kwestia odporności i zaangażowania samych Polaków na Litwie. Ostatni apel Rady Redaktorów „KW" ujawnił, że niektóre szkoły nie prenumerują ani jednej polskiej gazety. Czy to nie znak, że te szkoły zaczynają nam umykać?
To temat na dużo szerszą rozmowę. Nie znam realiów polskich mediów na Litwie. Ale po angielsku mówi się: „put your money where your mouth is" (pol. płać za coś, jeśli od czegoś zależy twój byt).

W naszym pierwszym wywiadzie przywołał Pan dokładnie tę samą frazę.
Chyba ją lubię, bo coś mi mówi o tym, jak my, Polacy, podchodzimy do pewnych spraw. Ci, którzy prowadzą organizacje polonijne czy polskie za granicą, czy media, mają moim zdaniem w sobie źle rozumianą skromność, wstyd. Boją się powiedzieć: to, co robię, kosztuje – i jeśli uważasz, że to dobre, zapłać. Darmowe przedstawienie czy biuletyn przyciąga widzów i czytelników, a gdy trzeba kupić bilet za symboliczne 5 euro, frekwencja spada, podobnie z prenumeratą. Inne nacje na całym świecie lepiej to rozumieją, że za coś dobrego trzeba płacić. Posiadają tez narzędzia i specjalistów od zbierania funduszy.

Prenumerata miesięczna kosztuje 10 euro. Ale chodzi raczej o czytelnictwo, nie o pieniądze.
Wspieranie czytelnictwa to też umiejętność – pamiętam akcję „Cała Polska czyta dzieciom". A w wypadku szkół prenumerata powinna być oczywistą oczywistością. Polska szkoła musi prenumerować polską gazetę. Nie wiem, co w tym temacie można więcej powiedzieć, poza dodaniem że atrakcyjność gazety ma duże znaczenie.

Sugeruje Pan konsul coś na wzór akcji „Polska szkoła czyta polską gazetę"? Byłby Pan niemal ojcem chrzestnym.
A czemu nie? To też kwestia rozmowy z czytelnikami. Wielu z nich może uważać, że wydawca „Kuriera Wileńskiego" ma pieniędzy, że ho, ho, bo zarabia na reklamach i dostaje wsparcie z Polski. Potrzebna jest przejrzystość finansowa, żeby czytelnik wiedział, ile pracy i pieniędzy kosztuje wydanie „KW".
Na koniec naszej rozmowy chciałbym jeszcze podzielić się z Państwem refleksją bardziej osobistą. Widzę, jak dzięki wam przez ostatni rok i dziewięć miesięcy zmieniło się moje podejście do patriotyzmu.

Pod wpływem Wilna?
Pod wpływem was, mieszkających tu Polaków. Kiedy patrzę, jak w litewskim otoczeniu rozwijacie i chronicie swoją polskość, i zestawiam to z Macierzą, widzę różnicę.
Tam polskość jest podana na tacy i przez wielu naszych Rodaków traktowana krytycznie, jako trochę relikt. Zespoły folklorystyczne, stroje krakowskie uchodzą tam niekiedy za przaśne.

Mamy też stroje wileńskie. Przestańmy mówić o krakowskich.
Wiem, wiem! Ale wasze przywiązanie do tradycji, także religijnej, pozwala mi na nowo docenić moją polską tożsamość. Słyszę tu młodzież recytującą „Redutę Ordona" czy „Pana Tadeusza", maluchy z recytujące Brzechwę i Tuwima, i myślę sobie: „trzeba dbać o nasze wspólne dziedzictwo". Kilka dni temu w przedszkolu „Kasztan" czterolatki zaśpiewały cztery zwrotki polskiego hymnu, z głowy, bo stały plecami do wyświetlanego tekstu. Ciekawe, ilu czterolatków w Polsce by to potrafiło.

Podczas pierwszej rozmowy tylko połowicznie potwierdził Pan, że jest romantykiem. W tej rozmowie chyba w stu procentach.
Mieszkając w Wilnie, trudno nie ulegać romantyzmowi. Jednym z moich – nie chcę mówić idée fixe – marzeń jest, żeby litewski mainstream kulturalny i polityczny reagował alergicznie na tezę, że stolica Republiki Litewskiej jest historycznie bardzo ważna także dla co najmniej trzech innych narodów.
Dziś 75–80 proc. mieszkańców Wilna to litewscy Litwini, a tylko niewielu z nich ma tu korzenie sprzed dwóch pokoleń. Pewien Polak stąd opowiadał mi, że w połowie lat 90. osoba prowadząca w Wilnie szkolenie dla pięćdziesięciu młodych urzędników poprosiła, żeby wstali ci, których dziadkowie mieszkali w Wilnie. „Wstałem ja i jeszcze jedna osoba" – opowiadała mi ta osoba. Chodzi mi o to, żeby Litwini, dumni ze swojej stolicy, mieli świadomość, że przez wieki kilka innych narodów bardzo się przyłożyło do tego, jak to miasto wygląda. Że w sensie figuratywnym te inne narody, w tym szczególnie Polacy, też są trochę jego właścicielami, bo ich przodkowie w tym mieście pracowali, to miasto budowali, tu się modlili. W przewodnikach pisze się ogólnie, że bywali tu tacy, siacy i owacy, i jest pięknie. Ale kiedy przychodzi co do czego, tabliczka informacyjna jest często tylko po litewsku. Nie widzę nic złego w powiedzeniu, że tu w jakimś konkretnym miejscu mieszkała taka czy inna osoba albo że w dzisiejszej stolicy Republiki Litewskiej 100 lat temu większość mieszkańców, ponad 60 proc. stanowili Polacy. ■

eprasa.pl 1a15d41ebb



Bernard Termion: Jestem pierwszym dyplomowanym organmistrzem w naszej rodzinie, a zdobycie profesjonalnych kwalifikacji pozwoliło mi połączyć wielopokoleniowe doświadczenie rodzinne z formalną wiedzą techniczną **Fot. archiwum prywatne**

Rzemiosło duszy i rąk. Pokolenie rodziny Termionów przy klawiaturze i warsztacie

Rozmawiała Krystyna **Juckiewicz**

Wspomnienie św. Cecylii, patronki muzyki kościelnej, 22 listopada, to doskonała okazja, by zajrzeć tam, gdzie na co dzień nie sięga wzrok wiernych – do samego wnętrza „króla instrumentów", czyli organów. Rozmawiamy o tym z organmistrzem Bernardem Termionem.

Dziś rozmawiamy o pasji przekazywanej z pokolenia na pokolenie, w której dźwięk spotyka się z precyzyjnym rzemiosłem. Nasz gość prezentuje niezwykły ród organistów, a sam na co dzień zajmuje się sztuką strojenia, naprawiania mechanizmów i przywracania życia piszczałkom.

Zapraszamy do lektury rozmowy o tym, jak brzmi rodzinna tradycja, ile cierpliwości wymaga praca wśród tysięcy drewnianych i metalowych elementów oraz co sprawia, że muzyka organowa wciąż porusza najgłębsze struny ludzkiej duszy. O tym rozmawiamy z organmistrzem Bernardem Termionem.

Krystyna Juckiewicz: Kiedy w Pana rodzinie pojawiła się muzyka organowa i organmistrzostwo? Kto był tym pierwszym ogniwem, które zapoczątkowało tę wielopokoleniową historię?

Bernard Termion: Historia muzyki organowej w naszej rodzinie rozpoczęła się od mojego dziadka, Wincentego Termiona. Dziadek ukończył szkołę organistowską w Wilnie, a jego pierwszą parafią był Kościół Wszystkich Świętych w Wilnie. To właśnie tam rozpoczęła się historia naszej rodzinnej tradycji związanej z muzyką kościelną. Dziadek był pierwszym ogniwem tego łańcucha pokoleń. Jego wybór drogi życiowej, zamiłowanie do muzyki i służba Kościołowi stały się fundamentem dla kolejnych członków rodziny. Co ciekawe, muzyka organowa z czasem objęła naprawdę dużą część naszej rodziny. Bracia, siostry oraz dalsi krewni dziadka również byli organistami. Łącznie w naszej rodzinie było aż 23 organistów. Można więc powiedzieć, że organy towarzyszyły nam niemal od zawsze. Muzyka była obecna w rodzinnych rozmowach, codziennym życiu i wspomnieniach. Dla kolejnych pokoleń nie była jedynie zawodem, lecz także pewnego rodzaju dziedzictwem, które należało pielęgnować i przekazywać dalej. Dzisiaj, patrząc na tę historię z perspektywy czasu, odczuwam ogromną wdzięczność wobec dziadka Wincentego. To właśnie od niego wszystko się zaczęło. Każdy z nas rozwijał tę tradycję na swój sposób, ale jej korzenie pozostają niezmienne – są związane z Wilnem i człowiekiem, który jako pierwszy wybrał tę niezwykłą drogę.

W rzemiośle organmistrzowskim wiele tajników nie jest zapisanych w książkach, lecz przekazuje się je z rąk do rąk. Jaka jest najważniejsza rada lub umiejętność, którą otrzymał Pan od starszego pokolenia?

Organmistrzostwo jest zawodem, w którym sama wiedza teoretyczna nigdy nie wystarczy. Można przeczytać wiele książek, poznać konstrukcję instrumentu i zasady jego działania, ale prawdziwe umiejętności zdobywa się przede wszystkim poprzez praktykę. W naszej rodzinie wiele tajników przekazywano sobie bezpośrednio podczas pracy.

Są rzeczy, których nie zapisuje się w podręcznikach, a które pozostają pewnego rodzaju rodzinną tajemnicą. To doświadczenia zdobywane przez starsze pokolenia, obserwowanie ich pracy i uczenie się poprzez wykonywanie konkretnych czynności. Ważne jest również to, że każdy instrument wymaga innego podejścia. Nie można traktować wszystkich organów jednakowo. Trzeba poznać ich konstrukcję, zrozumieć mechanizm, zwrócić uwagę na najmniejsze szczegóły i przede wszystkim umieć słuchać instrumentu. Najważniejszą lekcją, jaką wyniosłem z kontaktu ze starszym pokoleniem, jest szacunek do rzemiosła i pracy poprzedników. Każda naprawa wymaga cierpliwości, dokładności i odpowiedzialności, ponieważ pracuje się niejednokrotnie przy instrumentach, które mają za sobą setki lat historii. Moim zadaniem nie jest tylko przywrócenie im sprawności, lecz »

eprasa.pl 1a15d41ebb

także zachowanie tego, co pozostawili po sobie dawni mistrzowie.

Czym dla Pana osobiście jest wspomnienie św. Cecylii? Czy w środowisku organistów ten dzień obchodzi się w jakiś szczególny sposób?

Święta Cecylia, patronka muzyki kościelnej, organistów i chórzystów, zawsze zajmowała szczególne miejsce w moim życiu. Jej wspomnienie było w naszym środowisku wyjątkowym wydarzeniem, które łączyło ludzi związanych z muzyką i życiem parafialnym.

Pamiętam, że w kościele z tej okazji zawsze odprawiano mszę świętą w intencji organistów i chórzystów. Był to szczególny moment wspólnej modlitwy, podziękowania za otrzymany talent i prośby o dalsze siły do pełnienia muzycznej posługi. Po uroczystościach odbywały się również spotkania i wieczory w gronie muzyków, często w obecności księdza. Nie chodziło wyłącznie o samo świętowanie, ale również o możliwość spotkania osób, które na co dzień łączyła podobna praca, doświadczenia i zamiłowanie do muzyki kościelnej. Do dziś z uśmiechem wspominam nasze modlitwy do św. Cecylii z prośbami o piękniejszy głos, lepsze i wyższe tony oraz jeszcze większe umiejętności wokalne. Było w tym coś bardzo ludzkiego i serdecznego.

Każdy z nas chciał przecież jak najlepiej służyć muzyką podczas liturgii. Dla mnie św. Cecylia jest symbolem jedności środowiska muzyków kościelnych. Przypomina, że talent muzyczny to nie tylko zdolność, lecz także dar, za który należy być wdzięcznym.

Często mówi się, że organista nie tylko gra, ale modli się muzyką i prowadzi śpiew wiernych. Jak godzi Pan artystyczną wrażliwość z wymogami liturgii?

Święty Augustyn z Hippony powiedział: „Kto śpiewa, ten dwa razy się modli" (Qui cantat, bis orat). Te słowa bardzo dobrze oddają istotę posługi organisty. Muzyka liturgiczna jest niezwykle ważnym elementem modlitwy. Organy nie są zwykłym instrumentem koncertowym, a kościół nie jest salą koncertową. Grając podczas mszy świętej, trzeba mieć świadomość miejsca, w którym się znajduje, charakteru uroczystości oraz tego, że muzyka ma służyć całej wspólnocie wiernych.

Organy wymagają powagi, odpowiedniego podejścia i szacunku. Organista nie powinien skupiać się wyłącznie na własnych umiejętnościach czy artystycznej interpretacji. Jego zadaniem jest przede wszystkim prowadzenie śpiewu wiernych, podkreślanie najważniejszych momentów liturgii i tworzenie atmosfery sprzyjającej modlitwie.

> Muzyka organowa z czasem objęła dużą część naszej rodziny. Bracia, siostry oraz dalsi krewni dziadka również byli organistami. Łącznie w naszej rodzinie było aż 23 organistów. Można więc powiedzieć, że organy towarzyszyły nam niemal od zawsze. Muzyka była obecna w rodzinnych rozmowach, codziennym życiu i wspomnieniach.

Przez lata pracy zrozumiałem, że nie zawsze najbardziej skomplikowany utwór jest tym najpiękniejszym. Czasami prostota, odpowiednio dobrana melodia i właściwe brzmienie instrumentu potrafią wyrazić znacznie więcej niż najbardziej rozbudowana kompozycja. Dla mnie gra na organach jest czymś więcej niż wykonywaniem zawodu. To połączenie muzyki, wiary, odpowiedzialności i służby drugiemu człowiekowi. Właśnie dlatego tak ważne jest, aby każda nuta miała swoje miejsce i znaczenie.

Jak to się stało, że oprócz grania na organach zajął się Pan ich budową i renowacją? Czy bycie organistą pomaga w pracy organmistrza i odwrotnie?

W moim przypadku przejście od gry na organach do zajmowania się ich naprawą i renowacją było w pewnym sensie naturalną konsekwencją rodzinnej tradycji. W wielu parafiach i kościołach, w których pracowali moi krewni, pojawiała się potrzeba serwisowania instrumentów, naprawy mechanizmów, strojenia piszczałek czy przeprowadzania większych prac konserwatorskich. Organy to niezwykle skomplikowane instrumenty, składające się z ogromnej liczby elementów ruchomych i nieruchomych. Każdy z nich ma swoją funkcję i musi współpracować z pozostałymi.

Z biegiem lat poszczególne części zużywają się i wymagają naprawy, regulacji lub renowacji.

Ponieważ byłem najmłodszy w rodzinie, mój tata, Piotr Termion, organista z Ostrej Bramy, wujkowie i ciotki często zabierali mnie ze sobą do kościołów. Towarzyszyłem im podczas pracy przy instrumentach, obserwowałem, jak rozwiązywali problemy techniczne, jak stroili piszczałki i przywracali sprawność organom. Właśnie w ten sposób rozpoczęła się moja przygoda z organmistrzostwem.

Z czasem zainteresowanie przerodziło się w prawdziwą pasję i zdecydowałem się rozwijać tę dziedzinę zawodowo. Jestem pierwszym dyplomowanym organmistrzem w naszej rodzinie, a zdobycie profesjonalnych kwalifikacji pozwoliło mi połączyć wielopokoleniowe doświadczenie rodzinne z formalną wiedzą techniczną.

Uważam, że doświadczenie organisty jest ogromną pomocą w pracy organmistrza. Kiedy sam zasiada się przy kontuarze, doskonale rozumie się, czego oczekuje muzyk od instrumentu. Można usłyszeć najmniejsze niedoskonałości, ocenić brzmienie poszczególnych głosów i zrozumieć, jak ważna jest precyzja działania mechanizmu.

Z drugiej strony wiedza organmistrzowska pozwala lepiej poznać instrument od środka. Dzięki »

eprasa.pl 1a15d41ebb

temu organy przestają być wyłącznie narzędziem do grania, a stają się skomplikowanym dziełem techniki i sztuki.

Organy nazywane są królem instrumentów, a każdy egzemplarz jest niepowtarzalny. Co czuje Pan, gdy otwiera Pan szafę organową i zagląda do wnętrza zabytkowego, często kilkusetletniego instrumentu?
Przede wszystkim czuję ogromny szacunek i podziw dla dawnych budowniczych organów. Za każdym razem, kiedy otwieram szafę organową i zaglądam do wnętrza instrumentu, mam świadomość, że obcuję z dziełem człowieka, który często kilkaset lat temu stworzył coś niezwykle skomplikowanego i wyjątkowego. Najbardziej fascynuje mnie pomysłowość dawnych mistrzów. W czasach, kiedy nie było współczesnych narzędzi, komputerów ani zaawansowanych technologii, potrafili konstruować instrumenty o niezwykle złożonych mechanizmach. Wiele z tych rozwiązań do dziś budzi podziw.
Co ciekawe, nawet po wielu latach pracy przy organach wciąż można odkryć coś nowego. Każdy instrument ma własną konstrukcję, rozwiązania techniczne i charakter. Czasami wystarczy przyjrzeć się jednemu szczegółowi, aby odkryć pomysłowość dawnego budowniczego. W takich momentach człowiek zaczyna rozumieć, że organmistrzostwo to nie tylko technika i rzemiosło, lecz także sztuka. Moim zadaniem jest zachować tę pracę dla kolejnych pokoleń, nie niszcząc jej pierwotnego charakteru.

> Organmistrzostwo jest zawodem, w którym sama wiedza teoretyczna nigdy nie wystarczy. Można przeczytać wiele książek, poznać konstrukcję instrumentu i zasady jego działania, ale prawdziwe umiejętności zdobywa się przede wszystkim poprzez praktykę.

Jaki remont wspomina Pan jako najtrudniejszy lub najbardziej zaskakujący? Czy w starych organach zdarza się znaleźć kapsuły czasu – np. podpisy dawnych budowniczych lub stare gazety?
Przez lata pracy miałem okazję uczestniczyć w wielu remontach i renowacjach. Trudno wskazać jeden najtrudniejszy, ponieważ nie ma łatwych remontów organów. Jest to bardzo złożony instrument, którego naprawa wymaga ogromnej cierpliwości, zdolności manualnych, wiedzy i przede wszystkim czasu.
Każdy remont jest inny. Czasami problem dotyczy mechanizmu, innym razem piszczałek, miechów czy systemu doprowadzania powietrza. Zdarza się, że dopiero po dokładnym rozebraniu poszczególnych elementów można ocenić rzeczywisty stan instrumentu i zakres koniecznych prac. Jedną z najbardziej fascynujących części tej pracy są tzw. kapsuły czasu. W niemal każdym zabytkowym instrumencie można znaleźć ślady dawnych budowniczych. Są to podpisy, zapiski, daty, a czasami inne przedmioty pozostawione przez ludzi, którzy pracowali przy organach wiele dziesięcioleci lub stuleci wcześniej.
Zdarza się również odnajdywać stare gazety, którymi dawniej uszczelniano miechy i kanały powietrzne. Dzięki nim można czasami dowiedzieć się, co działo się w danym okresie, jakie wydarzenia miały miejsce i jak wyglądało życie ludzi w tamtych czasach. Dla mnie takie odkrycia mają szczególną wartość. Podczas remontu człowiek nie tylko naprawia instrument, ale również odkrywa jego historię. Każdy podpis czy stary fragment gazety to mały ślad pozostawiony przez kogoś, kto być może przed stu laty wykonywał dokładnie tę samą pracę. To niezwykłe uczucie, kiedy można w pewnym sensie nawiązać kontakt z dawnymi mistrzami i zobaczyć, że ich praca przetrwała próbę czasu.


Każdy instrument wymaga innego podejścia. Nie można traktować wszystkich organów jednakowo **Fot. Adobe Stock**

Co najbardziej szkodzi tym instrumentom? Jak bardzo na ich brzmienie wpływają pogoda, ogrzewanie w kościele czy po prostu upływ czasu?
Największym zagrożeniem dla organów są niewłaściwe warunki wilgotnościowe. Szczególnie szkodliwe jest powietrze zbyt suche lub nadmiernie wilgotne. Organy są instrumentami bardzo wrażliwymi na zmiany środowiska, ponie- »

eprasa.pl 1a15d41ebb



Ta historia nie jest wyłącznie moją historią. Jest również historią mojej ukochanej żony Elżbiety. W zawodzie organmistrza często mówi się o cierpliwości, poświęceniu i wytrwałości **Fot. archiwum prywatne**

waż składają się z wielu elementów wykonanych z różnych materiałów. Drewno, skóra, metal i inne materiały reagują na zmiany temperatury oraz wilgotności. Przy nieodpowiednich warunkach drewno może się odkształcać, skóra tracić elastyczność, a mechanizmy mogą przestawać działać prawidłowo. Ma to wpływ nie tylko na sprawność instrumentu, lecz także na jego brzmienie i strojenie.
Szczególnie ważne jest odpowiednie ogrzewanie kościoła. Gwałtowne zmiany temperatury i wilgotności mogą być dla organów znacznie bardziej niebezpieczne niż sam upływ czasu. Zabytkowe organy potrafią przetrwać setki lat, ale wymagają odpowiedniej troski. Właściwa konserwacja, regularne przeglądy i utrzymywanie możliwie stabilnych warunków w świątyni pozwalają zachować je dla przyszłych pokoleń.

Praca organmistrza wymaga ogromnej cierpliwości, precyzji i wiedzy z zakresu akustyki, stolarstwa oraz metalurgii. Czy trudno jest dziś znaleźć następców, którzy chcą uczyć się tego rzadkiego zawodu?
Niestety, organmistrzostwo jest obecnie bardzo rzadkim zawodem. Wymaga połączenia wielu umiejętności, które trudno zdobyć w krótkim czasie. Organmistrz musi posiadać wiedzę muzyczną, techniczną, mechaniczną, stolarską i metalurgiczną. Powinien również znać właściwości różnych materiałów i rozumieć zasady akustyki.
To rzemiosło wymaga cierpliwości i wieloletniej praktyki. Nie wystarczy nauczyć się jednej czynności, ponieważ przy każdym instrumencie można spotkać inne rozwiązania konstrukcyjne i problemy techniczne. Obecnie w swoim środowisku znam zaledwie dwie osoby, które interesują się tym rzadkim zawodem. To pokazuje, jak niewielu jest ludzi gotowych poświęcić czas na zdobywanie takich umiejętności. Uważam, że zachowanie tego rzemiosła jest niezwykle ważne. W Europie znajduje się wiele zabytkowych instrumentów, które wymagają opieki i specjalistycznej wiedzy. Jeśli zabraknie osób potrafiących je konserwować i naprawiać, możemy stracić część naszego dziedzictwa muzycznego i kulturowego.
Dlatego chciałbym, aby młodsze pokolenia dostrzegły wartość tej pracy. To nie jest tylko zawód – to również odpowiedzialność za zachowanie historii.

W wielu parafiach pojawiają się dziś instrumenty elektroniczne. Jak Pan jako muzyk i rzemieślnik, patrzy na tę tendencję? Czy da się w ogóle zastąpić żywy dźwięk piszczałek?
Moim zdaniem żywego dźwięku piszczałek nie da się w pełni zastąpić żadnym instrumentem elektronicznym. Tradycyjne organy mają wyjątkowy charakter, którego nie można sprowadzić wyłącznie do odtwarzania określonych dźwięków. Każda piszczałka ma swoje właściwości, a brzmienie całego instrumentu zależy od jego konstrukcji, zastosowanych materiałów, sposobu wykonania i akustyki wnętrza świątyni. To właśnie połączenie wszystkich tych elementów sprawia, że każdy instrument jest niepowtarzalny.
Organy piszczałkowe, jeśli są właściwie konserwowane, mogą służyć przez setki lat. Wiele zabytkowych instrumentów do dziś pozostaje świadectwem kunsztu dawnych organmistrzów. Instrumenty elektroniczne mają natomiast inną charakterystykę. Takie instrumenty są znacznie bardziej uzależnione od rozwoju technologii, dostępności podzespołów i możliwości serwisowania. Wraz z upływem czasu mogą się technologicznie starzeć i wymagać wymiany. Tradycyjne organy to jednak coś więcej niż urządzenie muzyczne. Są częścią historii świątyni, zabytkiem i dziełem rzemiosła. Dlatego uważam, że tam, gdzie istnieje możliwość zachowania i odrestaurowania organów piszczałkowych, warto podjąć ten wysiłek.

Gdyby miał Pan wybrać jedną rzecz w swojej pracy, która daje najwięcej satysfakcji – byłby to moment, gdy po miesiącach żmudnego remontu instrument znów odzywa się pełnym głosem, czy chwila, gdy zasiada Pan do konsoli podczas uroczystej mszy świętej?
Największą satysfakcję daje mi chwila, kiedy po wielu miesiącach pracy, podczas koncertu lub uroczystej mszy świętej, odrestaurowany instrument ponownie odzywa się pełnym, pięknym głosem. »

eprasa.pl 1a15d41ebb



Organy piszczałkowe, jeśli są właściwie konserwowane, mogą służyć przez setki lat **Fot. Adobe Stock**

To wyjątkowy moment, ponieważ za tym dźwiękiem kryją się miesiące pracy, wysiłku, cierpliwości i zaangażowania.

Kiedy słyszę, jak instrument, który jeszcze niedawno wymagał gruntownego remontu, ponownie wypełnia świątynię muzyką, czuję ogromną radość. Mam wówczas świadomość, że udało się uratować coś wyjątkowego – część historii, która będzie mogła służyć kolejnym pokoleniom.

Jednak mówiąc o swojej pracy i osiągnięciach, nie mogę pominąć osoby, która od 25 lat jest moim największym wsparciem i motywacją – mojej żony Elżbiety. Przez te wszystkie lata była przy mnie, towarzyszyła mi w dobrych i trudniejszych momentach, wspierała moje zawodowe plany i rozumiała, jak wiele czasu oraz zaangażowania wymaga moja pasja. Elżbieta podjęła bardzo ważną życiową decyzję – zrezygnowała z własnej kariery zawodowej, aby poświęcić się rodzinie i wychowaniu naszej trójki dzieci.

To ogromne poświęcenie, którego wartości nie da się zmierzyć żadnym zawodowym osiągnięciem. Dzięki jej codziennej pracy, trosce o dom, cierpliwości i wyrozumiałości mogłem rozwijać się zawodowo, podejmować kolejne wyzwania i poświęcać wiele godzin pracy przy organach, również poza domem. Wiem, że za moimi realizacjami, wyjazdami i kolejnymi projektami stoi również jej praca, której często nie widać. To ona przez lata dbała o rodzinę i zapewniała naszym dzieciom codzienną opiekę, dając mi możliwość realizowania zawodowych pasji.

Dlatego uważam, że ta historia nie jest wyłącznie moją historią. Jest również historią mojej ukochanej żony Elżbiety. W zawodzie organmistrza często mówi się o cierpliwości, poświęceniu i wytrwałości. Moja żona każdego dnia pokazywała mi, jak ważne są te wartości również w życiu rodzinnym. Jestem jej za to ogromnie wdzięczny. Po 25 latach wspólnej drogi wiem, że sukces zawodowy nie jest wyłącznie zasługą człowieka, który stoi przy instrumencie. Bardzo często stoi za nim również ktoś, kto daje mu siłę i możliwość realizowania marzeń.

Czy widzi Pan wśród młodszych członków rodziny iskrę, która pozwala wierzyć, że ta piękna tradycja będzie trwała? Czy stara się Pan ich do tego zachęcać, czy raczej zostawia pełną swobodę wyboru?

Tak, widzę w młodszym pokoleniu iskrę zainteresowania i wierzę, że nasza rodzinna tradycja będzie trwała dalej. Historia, która rozpoczęła się od mojego dziadka Wincentego Termiona, jest dla mnie czymś wyjątkowym i bardzo chciałbym, aby nie zakończyła się na moim pokoleniu.

Przez lata obserwowałem, jak muzyka organowa łączy kolejne pokolenia naszej rodziny. Była obecna w życiu mojego dziadka Wincentego, jego rodzeństwa, dalszych krewnych, a następnie kolejnych pokoleń. Stała się czymś więcej niż tylko rodzinną tradycją – była wspólną pasją, częścią naszej tożsamości i nieodłącznym elementem codziennego życia.

Dzisiaj chciałbym przekazać młodszemu pokoleniu nie tylko wiedzę techniczną i umiejętność gry na organach, ale przede wszystkim szacunek do tego wyjątkowego dziedzictwa, które otrzymaliśmy od naszych przodków.

Staram się zachęcać młodszych członków rodziny, pokazywać im instrumenty, opowiadać o swojej pracy i dzielić się doświadczeniem. Jednocześnie uważam, że każdy człowiek powinien samodzielnie wybrać swoją drogę. Nie chciałbym nikogo zmuszać do kontynuowania rodzinnej tradycji.

Najważniejsze jest dla mnie to, aby zainteresowanie pojawiło się naturalnie. Jeżeli ktoś z młodszego pokolenia zdecyduje się pójść tą drogą, z przyjemnością przekażę mu wszystko, czego sam nauczyłem się przez lata.

Byłaby to dla mnie ogromna radość i powód do dumy, gdyby za wiele lat ktoś z naszej rodziny mógł powiedzieć, że kontynuuje historię zapoczątkowaną przez mego dziadka Wincentego Termiona. Tradycja nie polega wyłącznie na powtarzaniu tego, co robili nasi przodkowie. Polega przede wszystkim na pielęgnowaniu wartości, pasji i wiedzy, które pozostawili nam w spadku.

> Święta Cecylia, patronka muzyki kościelnej, organistów i chórzystów, zawsze zajmowała szczególne miejsce w moim życiu. Jej wspomnienie było w naszym środowisku wyjątkowym wydarzeniem, które łączyło ludzi związanych z muzyką i życiem parafialnym.

eprasa.pl 1a15d41ebb

Cotygodniowe ogłaszanie zwycięzców. Kupon z rozwiązaniem krzyżówki można nadsyłać do 27 listopada, na adres redakcji: „Kurier Wileński" Birbynių g. 4A LT-02121 Vilnius lub pocztą elektroniczną: j.balkiewicz@kurierwilenski.lt z dopisanym w wiadomości imieniem i nazwiskiem nadawcy. Wyniki zamieścimy 5 grudnia.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z 7 LISTOPADA

Poziomo: OPIŁEK - JUBILER - APARATURA - TRENER - NARKOZA - KROKIET - DAREK - PRZESUW - GRAFIK - ROKITA - BAWIDAMEK - RZEPIK - KOTARA - KADRYL - KAREL - STONOGA - DWUKROK - POETA - POCHWAŁA - IKRA - LENIWE - ARNOLD - HALA - ITALIA - METALURG - ALINA - KIJEK - BALSAM - DWOJAKI - ZIELE - RANEK - FAJANS - KRAKERS

Pionowo: PARKUR - BRANDO - LAMBADA - KIPER - ZJAZD - WESELE - ŁANOWE - WERMUT - NATASZA - BEREK - SLIPY - KALI - ALAIN - KARIBU - DILER - LIMES - WRAK - OPIEKUN - JUNTA - USKOK - RADEK - LURA - GREK - CRAIG - BARD - ROKOKO - HART - KORA - KAJAK - TANEW - NAWIJAK - FLUOR - FIGARO - ATOL - JANE - ZENIT - REGAŁ - LINEKER - KRZAK - KAMALA - AIDA - KIKS

Hasło: Bezpłodna praca rodzi bunt

Pierwszy Czytelnik, który nadeśle prawidłowe rozwiązanie, będzie ogłoszony w następnym numerze magazynu „Kuriera Wileńskiego" za 2 tygodnie. Nadesłanie odpowiedzi na wskazany wyżej adres jest uznane za jednoczesną zgodę na opublikowanie imienia i nazwiska zwycięzcy w formie podanej przez Czytelnika. Zalecamy też pochwalenie się miejscowością zamieszkania!

Zwycięzca: Jadwiga Jachimowicz (Wilno)

Pod uwagę nie bierze się zgłoszeń pracowników redakcji oraz członków ich rodzin.

Ułożył Roman Głowacki

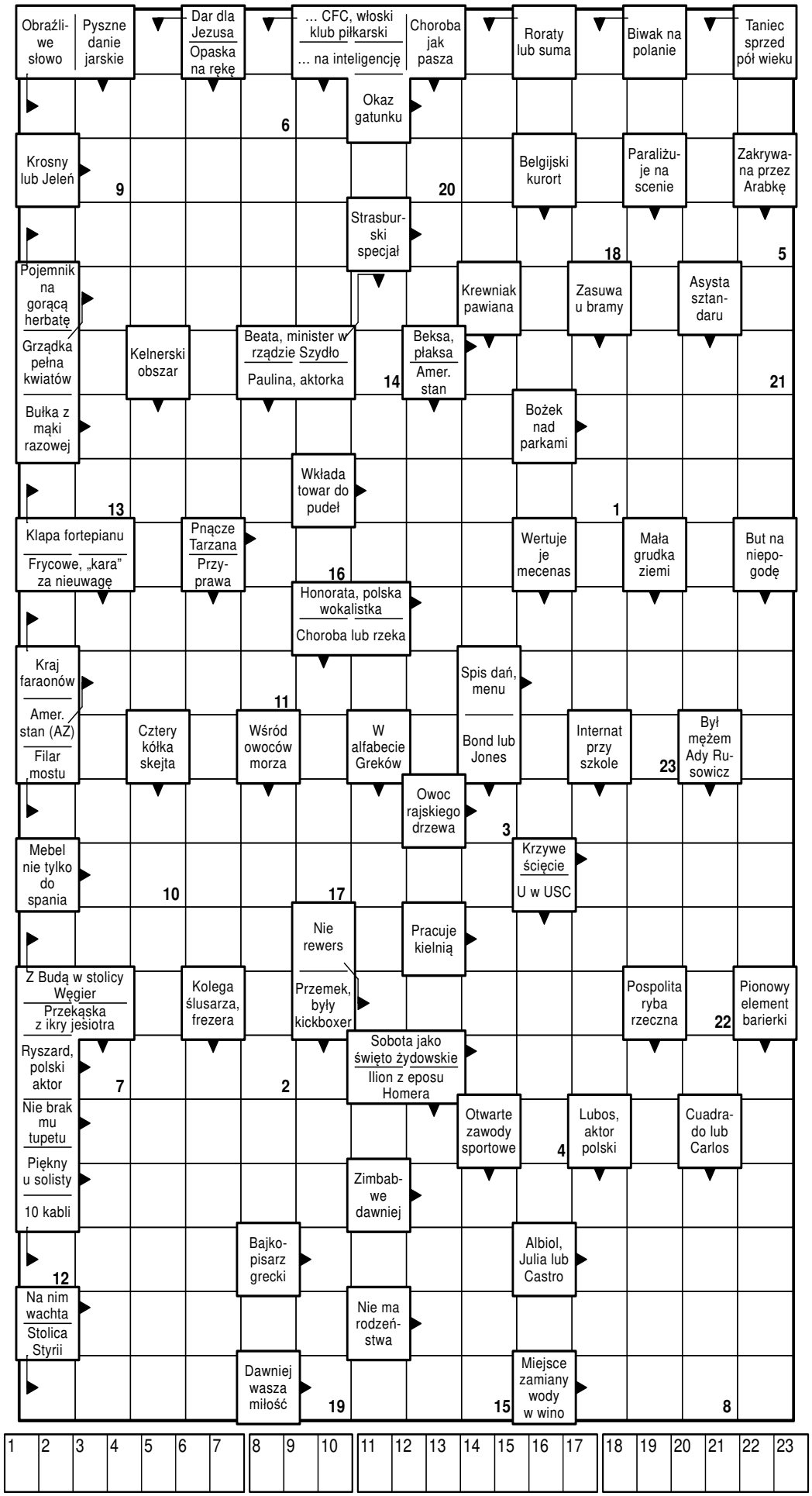

eprasa.pl 1a15d41ebb

KLION UAB

AUTHORIZED DISTRIBUTOR
ORLEN OIL

Nowa technologia w olejach silnikowych ORLEN OIL

Ochrona, która pracuje z silnikiem – od chłodnego startu do najwyższych temperatur!

ADVANCED PROTECT FORMULA



Stabilność oksydacyjna większa o co najmniej 30%*
Mniejsza degradacja oleju, dłuższa żywotność silnika

Ochrona od pierwszego obrotu
Technologia aktywowana natychmiast po uruchomieniu silnika – chroni przed zimnym startem.

Termoaktywna powłoka HEC
Ochrona, która wzmacnia się w wysokich temperaturach.

Stabilność w ekstremalnych warunkach
Ochrona silnika nawet w wysokich temperaturach i dynamicznej jeździe

Sprawdź więcej na **oferta.orlenoil.pl**

*w stosunku do specyfikacji bazowej, zgodnie z testem CEC L-109-14

Zam. 2943

eprasa.pl 1a15d41ebb